TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 35 (183)
Łódź, 3. IX. 1961 r.
cena 1 zł

# odgłosy

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

## Witaj szkoło!

Pierwszego września, jak co roku, młodzież szkolna wyroi się na ulice miast i miasteczek, na drogi wiejskie.

Tylko w samej Łodzi do szkół podstawowych uczęszcza 106 tysięcy dzieci. Gdyby to „towarzystwo" wzięło się za ręce, i takim „wężem" pomaszerowało ulicą Narutowicza i dalej, het, autostradą, to łeb „węża" znalazłby się już w Warszawie, przy placu Zamkowym, a „ogon" jeszcze by się u nas z placu Wolności nie ruszył.

A jeszcze gdyby tak owego „węża" przedłużyć o 31 tysięcy uczniów szkół średnich w drugą stronę Piotrkowskiej, wówczas sięgnąłby on chyba do Zduńskiej Woli.

A ze wszystkich szkół w Polsce?

Chyba wypełniłaby ta dzieciarnia i młodzież wszystkie drogi i wszystkie ulice. Ta młoda Rzeczpospolita Ludowa.

I tak jak miłości i nadziei pełnym spojrzeniem obejmują rodzice swoich Zbyszków i swoje Halinki, tak troskliwym, radosnym i ufnym spojrzeniem obejmuje tę najmłodszą Rzeczpospolitą cały naród, widząc w niej zapowiedź swojej promiennej przyszłości.

Czy ta ufność nie dozna zawodu, to zależeć będzie od naszej pracy, od nas — nauczycieli.

Zarówno ufność tysięcy rodziców, jak i ufność całego narodu.

Na barkach naszych spoczął trudny obowiązek kształtowania młodych charakterów i umysłów — ich rozumu, prawości i dzielności. Tego od nas oczekują ojcowie i matki — kształtowania oblicza młodego pokolenia ludzi nowoczesnych, myślących, gospodarnych i rządnych — tak, tego od nas oczekuje nasza ludowa ojczyzna.

Państwo buduje nam coraz to doskonalszy warsztat pracy: nowoczesne budynki szkolne, coraz lepiej wyposażone pracownie, bogate biblioteki, pomoce naukowe.

Ale dla wszystkich jest jasne, że czynnikiem, który w stopniu decydującym rozstrzyga o wartości szkoły, jest — nauczyciel.

Prawda: dobry podręcznik, z sensem ułożony program nauczania to czynniki

Dalszy ciąg na str. 2

KRZYSZTOF POGORZELEC

## HERR SCHMIEDTKE przychodzi o 7-ej

Nad Wisłą dzieci mogły jeszcze wtedy spokojnie cmokać cukierki Tylko redaktorzy codziennych gazet sięgali po większe czcionki: ODDZIAŁY GEN. FRANCO ZAATAKUJĄ REPUBLIKAŃSKI MADRYT? CZERWONI SZYKUJĄ KONTROFENSYWĘ? Łódzkie „Echo" pozostawiło te dwa pytajniki bez odpowiedzi Był rok 1937. Cztery kolumny faszystowskich wojsk posuwały się w kierunku hiszpańskiej stolicy. Piąta — dywersantów w samym mieście.

* * *

Znacie już teraz rodowód i genezę tej tajnej organizacji, która na kartkach wydarzeń II wojny światowej zapisała się pod nazwą PIĄTEJ KOLUMNY. Znad Ebro możemy więc przejść do dramatu, w którym główne role wyznaczono dla 30 milionów Polaków.

* * *

**SIERPNIOWE DNI**

— *Tu Polskie Radio Warszawa na falach wszystkich rozgłośni!*

Głos Bocheńskiego brzmiał urzędowo. Przed chwilą speaker poinformował miliony polskich słuchaczy o nowej nocie rządu Rzeczpospolitej. Adresat był ten

Dalszy ciąg na str. 4

*„PAN OLEŚ POD PALMĄ"—fotoreportaż „Odgłosów" z czarnomorskiego wybrzeża zamieszczamy na str. 11* *Fot. W. Machejko*

## „WOREK judaszów"

- Powieść o bohaterstwie, miłości, poświęceniu i zdradzie.
- Powieść ukazująca kulisy jednego z najsensacyjniejszych zdarzeń lat powojennych.
- Powieść, której akcja toczy się w woj. łódzkim.
- Powieść, która na półkach księgarskich znajdzie się dopiero pod koniec br., lecz już obudziła zainteresowanie w Polsce i za granicą.
- „WOREK JUDASZÓW" — to powieść, którą będziemy drukować już w najbliższym numerze.

BARBARA SEIDLER

## W mieście - miasteczko

**Gdy w Łodzi wspomina się Radogoszcz, zaraz wszyscy mówią: „ a, to tam był obóz śmierci". Z tym pojęciem strasznym, nieludzkim kojarzy się nazwa tej dzielnicy.**

**Przeglądam akta sprawy wytoczonej Walterowi Pelzhausenowi — komendantowi więzienia rozdzielczego w Radogoszczy — za zbrodnie wojenne. Oglądałam zdjęcia otyłego, o tępym wyrazie twarzy oficera SS, który z dalekiej Turyngii przyjechał w roku 1940 do Radogoszczy, żeby objąć władze nad dawną fabryką Abbego, przerobioną naprędce na obóz rozdzielczy, który w przededniu wyzwolenia, gdy radzieckie katiusze stały już w zgierskim lesie, stał się miejscem masowej zagłady, straszliwej śmierci w płomieniach 1500 osób.**

**Wyczytałam w aktach, że matka Pelzhausena pochodziła z rodziny Geyerów. Chyba to nie byli ci sami**

Dalszy ciąg na str. 6

# Witaj Szkoło!

Dalszy ciąg ze str. 1

bardzo istotne, ale nigdy nie będą one znaczyły tyle, co dobry i mądry nauczyciel-wychowawca.

Pamiętajmy: już za dwa lata rozpocznie się realizacja reformy szkolnej. Już obecne trzy pierwsze roczniki w szkole podstawowej skończą szkołę ośmioletnią. I jeszcze: w pojęciu nowoczesności mieści się dziś poznanie szybko rozwijającej się techniki, nauki, mieści się poszukiwanie nowych kryteriów piękna, chodzi wreszcie o kształtowanie nowych form współżycia między ludźmi.

To wszystko nakłada na nas obowiązek, od którego pod grozą samounicestwienia intelektualnego nikt z nauczycieli uchylić się nie może, obowiązek pracy nad sobą — ustawicznego samokształcenia.

Pod koniec roku szkolnego rady pedagogiczne wszystkich szkół dokonały analizy swojej pracy dydaktycznej i wychowawczej. Ta analiza bardzo szczegółowa i krytyczna plus wyniki egzaminów do szkół średnich absolwentów klas siódmych i — do szkół wyższych — maturzystów pozwolą zarówno szkołom podstawowym jak i średnim określić bardzo konkretnie własne zadania dydaktyczne: na które klasy i na jakie przedmioty należy zwrócić szczególną uwagę w nowym roku szkolnym? Trzeba tu podkreślić pokutujące jeszcze w niektórych szkołach traktowanie pewnych przedmiotów jako tzw. „michałki". To musi wreszcie zniknąć: godziny lekcyjne są jednakowo ważne: obojętne czy jest to godzina matematyki, czy też śpiewu, wychowania fizycznego, czy prac ręcznych.

Dzień rozpoczęcia roku szkolnego, dzień 1 września dla nas, starszego pokolenia nieodparcie kojarzy się z pamiętnym wrześniem 1939.

Łodzianie, uczczą pamięć tamtych dni uczestnicząc w odsłonięciu pomnika-mauzoleum na Radogoszczy.

Radogoszcza powinna stać się bliską tragiczną i drogą pamiątką również dla każdego łódzkiego dziecka, choć historia oszczędziła cierpień najmłodszym pokoleniom.

Kształtując sylwetkę nowoczesnego Polaka musimy przecież pamiętać, by on był jak najbardziej organicznie związany z przeszłością, zwłaszcza z tą najbliższą, która nadała ostateczny kształt naszej Ojczyźnie. Bohaterstwo i beznadziejność tamtego Września, heroizmu walki podziemnej, bestialstwa hitlerowskiego najeźdźcy — to wszystko stać się winno głęboko odczute i poznane przez naszą młodzież. Prowadźmy więc ją na Radogoszcz i miejsce kaźni w Zgierzu, organizujmy spotkania z uczestnikami kampanii wrześniowej, z byłymi więźniami Oświęcimia czy Majdanka!

I jeszcze jedno: w tym roku szkolnym obchodzić będziemy 20-lecie PPR.

Ci właśnie ludzie, ludzie PPR-u, ZMW-u, Gwardii czy Armii Ludowej żyją wśród nas. Zapraszajmy ich do szkół, niech mówią o swojej pracy i walce podejmowanej pośród najczarniejszej ze wszystkich — okupacyjnej nocy. Poprowadźmy z nimi młodzież na miejsca walki: do lasów głowieńskich, tomaszowskich, radomszczańskich..

Miesiąc maj 1962 r. — 20 rocznica powstania łódzkiej organizacji PPR jest nie tylko jedną z historycznych dat, lecz wyznacza nam kierunek naszej całorocznej pracy wychowawczej.

Tak oto z grubsza kształtowałyby się główne kierunki pracy naszych szkół w nowym roku szkolnym: *konkretność* zadań dydaktycznych i przemyślana, całoroczna, systematyczna praca nad pogłębieniem wychowania *patriotycznego*.

**MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI**



**JERZY WILMAŃSKI**

# NIE TYLKO PIŁKĄ NOŻNĄ SIĘ ŻYJE

„Nie tylko piłką nożną się żyje".

Ten trochę zaskakujący niemniej całkowicie słuszny tytuł znalazłem, jak nie trudno zgadnąć, na łamach pisma sportowego. Autor stwierdzał, że nie tylko „się żyje" piłką nożną.

To nawet zabawne, że gazety sportowe albo dmą w surmy (oczywiście bojowe) albo mają ambicje odkrywania Ameryki. Bo przecież istotnie nie tylko ową nieszczęsną piłką „się żyje". ale kto o tym wcześniej w równie bezpośredni sposób mówił?

Dlatego przy następnym tytule głoszącym, że „Kibic ma głos, bo dograł się bezsennych nocy" nawet się nie zdenerwowałem. Co prawda, związek bezsennych nocy z niezaprzeczalnym prawem kibica do głosu pozostał dla mnie dość enigmatyczny, ale przecież czy warto o to kruszyć kopie? Czyż bowiem sport, jako taki, nie jest sam w sobie równie zagadkową zabawą?

Naprawdę wolę prasę sportową. Przynajmniej uśmiać się można i cały dom zabawić. Gdybyż, ach, gdybyż metody i sposobiki dziennikarzy sportowych zastosować w całej prasie. Zaraz by się wszystkim zrobiło weselej. Przywożą na przykład do Delikatesów transport hiszpańskich cytryn. I zaraz łup tytulik na dwie szpalty „Złote kule hiszpańskiego słońca wydarte spod krwawej dyktatury gen. Franco".

Niedawno spotkałem na łamach działu sportowego jednej z łódzkich gazet tululik oznajmiający zainteresowanym, że „Szalecki złamał palec". Zdumiałem się. Jakie to proste, a nikt dotychczas na to nie wpadł. Przecież pomysł informowania czytelnika o wydarzeniach tej miary można z powodzeniem zastosować w prasie literackiej. Jakby to było ładnie, gdybyśmy mogli sobie przeczytać, powiedzmy w „Nowej Kulturze" — „Przyboś zwichnął nogę", bądź „Śliwonik ma kaca".

Pomysł wart realizacji, wytarczy tylko zatrudnić w tygodnikach literackich dziennikarzy sportowych.

Najpiękniejsze są jednak tytuły sportowo-gastronomiczne. Przoduje w nich pewien łódzki dziennik. Znaleźć tam można np. informacje, że czyjś wynik był „okrasą pierwszego dnia mistrzostw." Najwięcej okazji do tytułów gastronomicznych dał przyjazd węgierskiej drużyny piłkarskiej z Szeged. Dowiedzieliśmy się wtedy o apetytach mieszkańców Zduńskiej Woli z tytułu „Węgierski futbol na deser zduńsko-wolskiej publiczności". Ale najładniej poinformowano łódzkich kibiców tytułem „Tylko dla smakoszów futbolu. Dziś o godzinie 18,30 węgierska papryka piłkarska".

Tu już nie zdzierżyłem. Złapałem się za głowę z okrzykiem: Ludzie miejcie litość! dlaczego papryka? Że Węgrzy? A czy naszych, powiedzmy, pięściarzy witają zagraniczne gazety w podobny sposób — „Polski ochlaj bokserski"?

Zdarzył się jednak tytuł, który na długo zachwiał moją równowagę psychiczną. Był niepozorny, ale dręczy mnie podstępnie do dziś. Tytuł brzmiał: „Ucieczka pięciu muszkieterów".

Ki diabeł? Trwał w tym czasie Wyścig Pokoju, domyśliłem się więc, że to kolarze. Ale może nie? W takim razie, skąd wzięli się w Polsce po czterystu latach? Potem mnie uświadomiono, że to taka przenośnia, że licentia poetica, że Dumas... Może. Ale jaka tam przenośnia, skoro muszkieterowie byli piechurami, no i w końcu warto też wiedzieć, ilu ich u Dumasa było naprawdę. Tak więc do dziś dręczą mnie wątpliwości, które zawdzięczam lekkomyślnemu dziennikarzowi bawiącemu się w przenośnie, a nie znającemu „Trzech muszkieterów".

Tadeusz Boy-Żeleński w znanym felietonie „Styl kwiecisty", proponował, aby autor budujący metaforę spróbował ją narysować. Wtedy bowiem najłatwiej ujrzeć komizm karkołomnej budowli językowej. Przypomniały mi się zalecenia Boya w chwili, gdy przeczytałem tytuły „Defekty i kraksa zgubiły Gęszkę, oraz „Pierwsze skrzypce obejmują lekkoatleci". Nieszczęsny Gęszka, zgubiony po drodze przez defekty nie jest może najwdzięczniejszym tematem do rysunku. Bardziej podoba mi się drugi tytuł. Obraz lekkoatletów obejmujących skrzypce jest dość komiczny. Szkoda tylko, że skrzypiec nie objęli ciężarowcy. Byłoby jeszcze śmieszniej.

Tak więc, jak uważny Czytelnik widzi, zabawa przy czytaniu prasy sportowej jest duża i pouczająca. Czasem przy owej lekturze przypomni się Dumas, czasem Boy, czasem podręcznik gramatyki. W każdym razie korzyść spora. Kształci pamięć i poczucie humoru.

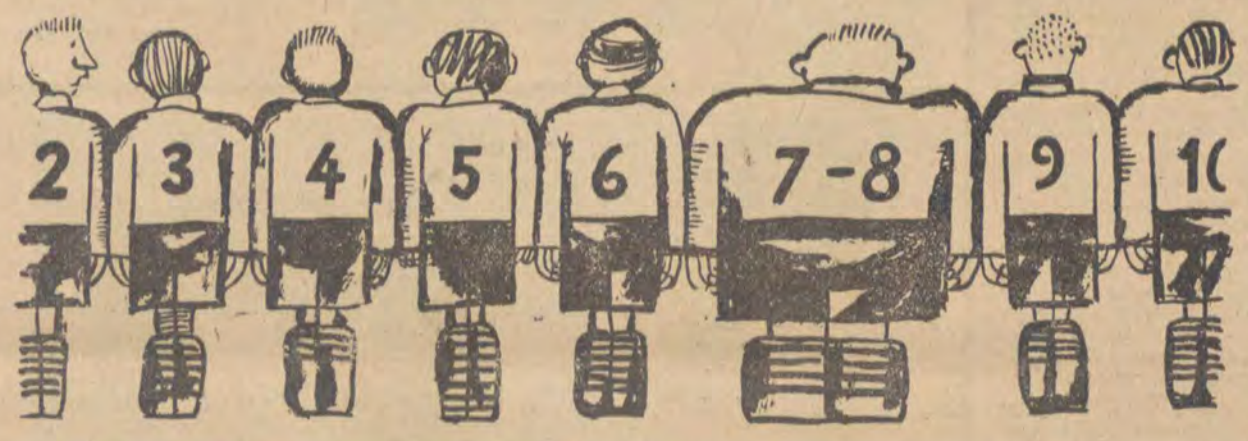


dwa tygodniki polityka

JACEK LEBEN

# Wybory w NRF

**Trzeba mieć wiele cywilnej odwagi aby opowiedzieć się w NRF za programem DFU. Nie ulega wątpliwości, że partia ta działająca w warunkach dyskryminacji i terroru przy braku środków finansowych i narzędzi propagandy, a co najważniejsze w atmosferze przesyconej miazmatami szowinizmu i odwetu, nie może w bieżących wyborach odegrać czołowej roli, niemniej spełnia rolę fermentującego zaczynu i ośrodka mobilizującego dla tych wszystkich sił w Niemczech zachodnich, które umieją wyciągać lekcję z historii.**

**Trudno przypuszczać, ażeby wybory w Niemieckiej Republice Federalnej zmieniły w sposób zasadniczy mapę polityczną zachodnich Niemiec. Nie będą one również prawdziwym pokazem nastrojów społeczeństwa, bowiem na przeszkodzie temu stanie zarówno zimno wojenna historia jak i jej typowe dla społeczeństwa niemieckiego przeciwieństwo — apatia. Również zglaszachtowanie programów nie pozwala na ujawnienie prawdziwego układu sił.**

**Na 17 września należy jednak czekać. Przed tym terminem nie mogą się bowiem rozpocząć rozmowy wielkich mocarstw w sprawie Berlina. Wszelkie rozmowy w tej materii, które muszą doprowadzić do ustępstw ze strony mocarstw zachodnich działałyby przecież przeciwko żelaznemu kanclerzowi, który twierdzi od lat, że tylko twardość poparta militarną potęgą zachodu może zmusić do ustępstw świat socjalistyczny. Ta właśnie niemożność rokowań świadczy o zależności mocarstw zachodnich od Adenauera i potwierdza konieczność znalezienia poza NRF dźwigni, która by zmieniła koryto niemieckiej polityki. Tą dźwignią jest właśnie Berlin.**

**Za niespełna trzy tygodnie mieszkańcy Niemieckiej Republiki Federalnej pójdą, po raz trzeci w historii swego państwa, do urn wyborczych.**

**A oto główni aktorzy: partia kanclerza Adenauera (CDU), Socjaldemokracja (SPD), liberałowie z nazwy (FDP), świeżo powstała Partia Ogólno Niemiecka (GDP) oraz Niemiecka Unia Pokoju (DFU).**

**Atmosfera wyborów jest dramatyczna — wiadomo berliński sierpień i wrzesień skupiają i będą skupiać na sobie uwagę opinii publicznej świata. Wybory — wprost przeciwnie nie będą dramatyczne. Układ sił w Niemieckiej Republice Federalnej nie dopuszcza w tej chwili żadnej możliwości zmian.**

**Na pierwszym planie są dwie partie CDU i SPD. W poprzednich wyborach CDU otrzymała 51% głosów a więc większość ale nie absolutną. SPD natomiast 33% głosów. Obie partie otrzymały więc 88% wszystkich ważnych głosów ale wówczas w 1957 roku z socjaldemokracja niemiecką można było wiązać nadzieję na zmianę kursu politycznego Niemieckiej Republiki Federalnej.**

**W przeddzień wyborów Socjaldemokraci pokryli mury w NRF morzem plakatów, na których widniała twarz „żelaznego kanclerza" w czerwonej poświacie pożarów, na jej tle bomba atomowa i podpis — „Adenauer to śmierć atomowa". Socjaldemokraci walczyli wówczas przeciwko atomowej śmierci, przeciwko programowi zbrojeń atomowych NRF. W przeddzień obecnych wyborów Socjaldemokraci takich plakatów nie wywieszą. W ciągu minionych czterech lat zrezygnowali z walki przeciwko atomowym zbrojeniom, zakneblowali usta lewicy w swoich szeregach. Wyrzekli się własnego planu zjednoczenia Niemiec, odrzucili Plan Rapackiego. Na ostatnim Kongresie SPD w Hanowerze stoły były pokryte niebieskim pluszem a nie czerwonym. Cały program socjalny SPD znalazł się za burtą, usunięto z niego wszystko co trąciło socjalizmem. Kierownictwo SPD twierdzi bowiem, że mieszczuch boi się socjalizmu a więc w imię pozyskania mieszczucha trzeba skapitulować. W warunkach kapitulacji zatraca się jednak twarz i SPD ją straciło, prosząc Adenauera o wspólną politykę zagraniczną, narodową politykę.**

**Żelazny kanclerz odrzucił starania o rękę.**

**W kampanii wyborczej padają ostre słowa. Willy Brandt atakuje Adenauera a ten ostatni atakuje Willy Brandta. W programach nie ma jednak różnicy. Walka wyborcza polega na tym, że jeden rządzi a drugi chce rządzić, decydują więc tylko pozycje wyjściowe.**

**Kampania wyborcza przypomina nieco aurę przedwyborczą w Stanach Zjednoczonych. Na plan pierwszy wysuwają się kandydaci na kanclerza. Konrad Adenauer ma za sobą jedenaście lat władzy i cud gospodarzy ale ma również 86 lat i trudny charakter despotycznego starca. Socjaldemokraci ostrzegają: głosujesz na Adenauera głosujesz na Straussa. Straus jak wiadomo, to symbol militaryzacji a wszystkie wróble na bońskich dachach ćwierkają, że stary kanclerz właśnie jego upatrzył sobie na następcę. Niedługo po wyborach Straus zostanie ministrem spraw zagranicznych (jest to lepsze pole startowe niż ministerstwo obrony), a gdzieś za półtora roku Konrad Adenauer zostanie prezydentem (próbę generalną odbył już przed rokiem) a Straus zasiądzie w kanclerskim fotelu.**

**Willy Brandt ma połowę tych lat co kanclerz Adenauer, jest więc stosunkowo młody, dość przystojny i energiczny, ma antyhitlerowską przeszłość i posadę burmistrz zachodniego Berlina. To symboliczne przecież, że SPD dzięki temu problem Berlina zachodniego uczyniła odskocznią do walki wyborczej. W tej materii Willy Brandt przelicytował samego Adenauera, którego jak wiadomo w zimno — wojennych posunięciach jest raczej trudno przelicytować.**

**Na Socjaldemokratów i Willy Brandta głosować będzie ich żelazna klientela wyborcza a także ci wszyscy, którzy po prostu wybierają mniejsze zło, obawiając się w ciągłości władzy ekipy Adenauera początku trwałej dyktatury.**

**SPD obawia się jednak, że kilka mandatów może jej odebrać Niemiecka Unia Pokoju. Na czele tej nowej partii stoją lewicowi działacze robotniczy i związkowi, lewica intelektualistów, naukowców i studenci walczący przeciwko atomowej śmierci. Program tej młodej partii jest jedyną alternatywą dla militarystycznego programu pozostałych i zorganizowanych sił politycznych. Opowiada się ona za neutralizacją Niemiec według austriackiego wzorca, za Planem Rapackiego, uznaniem granicy na Odrze i Nysie, przeciwko atomowym zbrojeniom Bundeswehry.**

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

# Filmowy wrzesień

*Od paru tygodni czytelnicy prasy codziennej byli informowani o Festiwalu Filmów Polskich. I oto stoimy, używając sportowej nomenklatury, na starcie tej zakrojonej na szeroką skalę imprezy, która swym zasięgiem obejmuje wszystkie kina w kraju. Wrzesień stanie się zapewne najbardziej „ufilmowionym" miesiącem roku.*

*Oprócz retrospektywnego przeglądu polskiej, powojennej produkcji filmowej wszystkich rodzajów filmów — fabularnych, dokumentalnych, oświatowych i animowanych obejrzymy kilka nowych polskich pozycji, których premiery, co kilka dni będą się odbywały w kinach zeroekranowych. Redakcja „Mieszanki" pragnie przedstawić czytelnikom niektóre z tych interesujących pozycji.*

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

## Wrzesień 1939

Jerzy Bossak, czołowy nasz dokumentalista, autor świetnych dokumentów „Powódź" (1947), „Powrót na Stare Miasto" (1954), „Warszawa 1956" (film zrealizowany wspólnie z reż. Jarosławem Brzozowskim) zbierał przez kilka lat materiały do filmu o wrześniu. Został on zestawiony z licznych archiwalnych zdjęć filmowych pochodzących z archiwów: radzieckich, amerykańskich, wschodnio i zachodnioniemieckich, holenderskich, francuskich.

Pierwsza część filmu poświęcona została wydarzeniom politycznym poprzedzającym wybuch wojny. Jest to retrospektywny pokaz fragmentów oryginalnych kronik — polskiego PAT, kroniki czeskiej i hitlerowskiej. Zachowano przy tym oryginalne komentarze tych kronik. Jakże wymowne są zdjęcia przedwojennego PAT ukazujące operetkowe zbiórki pieniężne dzieci szkolnych na kupno... karabinu maszynowego, czy stwierdzenie ówczesnego polskiego komentatora, że Polska posiadała w 1939 roku najlepszą... armię świata. Oglądamy nieznane ogółowi zdjęcia dokumentalne nakręcane przez niemieckich operatorów podczas bitwy nad Bzurą i po jej krwawym epilogu.

Świetny montaż, rzetelny, w miarę oszczędny komentarz to dalsze plusy filmu Bossaka i Kaźmierczaka. Ta dokumentalna relacja o wrześniu 1939 roku zasługuje na szczególną uwagę naszego aparatu rozpowszechniania filmów.

## „Przeciw BOGOM"

Problemem urabiania szkodliwej opinii, sprawą niepotrzebnej nikomu bohaterszczyzny zajął się w swoim filmie „Przeciwko bogom" reż. Hubert Drapella, autor dość słabej „Historii jednego myśliwca". Ostatni film wspominam nie bez przyczyny. Otóż Drapella zrobił od tamtego czasu dość wyraźny postęp, udoskonalił swój warsztat reżyserski. Zrealizował swój drugi film mało, że poprawnie, ale z zacięciem, zajmując określoną postawę wobec problemu niepotrzebnej brawury i jej kultu stosunkowo jeszcze głęboko zakorzenionego w mentalności ogółu naszego społeczeństwa.

Losy kapitana Doronia, pilota odrzutowego myśliwca, jego wypadek i wreszcie konflikt z ociemniałym bratem byłym pilotem RAF, relacjonuje Drapella w dobrym tempie, posługując się w miarę efektownymi zdjęciami Mikołaja Sprudina i Wacława Florkowskiego (znanych operatorów filmów dokumentalnych). W „Przeciwko bogom" Drapella wykazuje, że we współczesnym lotnictwie nie powinno być miejsca na niepotrzebne choć może nawet piękne, romantyczne gesty, lecz na przemyślane, obliczone z matematyczną dokładnością decyzje.

Dobrze radzi sobie reżyser z aktorami, choć można mieć zastrzeżenia szczególnie do wykonawcy głównej roli — Stanisława Zaczyka, traktującego swą rolę ze zbyt wielkim dystansem.

A. N.

# „SAMSON"

Nowy film Andrzeja Wajdy, znajdzie się zapewne pod silnym obstrzałem krytyków, którym artystyczna forma wypowiedzi Wajdy od lat wydaje się zbyt barokowa. Zarzutu tego jednak nie będą mogli przeciwnicy Wajdy użyć w stosunku do „Samsona" Film ten, jak żadne do tej pory dzieło tego reżysera, zrealizowany został z dużą oszczędnością środków filmowych, czasami wprost jakąś chropowatością, z owym grubym ziarnem, jak określają operatorzy. Dla Wajdy scenariusz, (napisany zresztą wspólnie z Kazimierzem Brandysem, na podstawie powieści pod tym samym tytułem), stanowił jakby tylko propozycję filmową, którą twórca w trakcie realizacji modelował. W dziele Wajdy znajdujemy przede wszystkim bohatera, ogólną myśl i klimat powieści. To one właśnie świetnie zostały zachowane i podkreślone między innymi zdjęciami Jerzego Wójcika, które same w sobie stanowią już zjawisko artystyczne. Wajda zgrupował w tym filmie aktorów o znakomicie opanowanym rzemiośle.

Serge Merlin z teatru Jean Luis Barraulta i paryskiej Comedie Francaise stworzył postać Jakuba, osamotnionego i prześladowanego, ale broniącego się człowieka. To naprawdę udana i niezapomniana kreacja tego debiutującego przed kamerą młodego francuskiego aktora. Świetna jest w filmie Alina Janowska i Elżbieta Kępińska, nie ustępują im: Jan Ciecierski i Tadeusz Bartosik oraz Irena Netto i Władysław Kowalski. „Samson" Wajdy z pewnością jednak obudzi kontrowersje. W prywatnych rozmowach krytyków filmowych daje się słyszeć głosy, że film ten jest gorszy niż książka, gorszy także od poprzednich dzieł Wajdy. Warto więc śledzić recenzje, na pewno będą dyskusyjne.

Analityczną recenzję z „Samsona" znajdziecie także w jednym z najbliższych numerów „Mieszanki".

# „Milczące ślady"

Zbigniew Kuźmiński prezentuje film, który już w swoich zamierzeniach miał być filmem rozrywkowym. Mimo że nie mieliśmy w Polsce Dzikiego Zachodu, ani Vera Cruz, nie istnieje też literatura o szlachetnych wodzach Indian — Kuźmiński nakręcił film prawie cowboyski. Jest on oparty na noweli Mariana Kozłowskiego i opowiada o wydarzeniach rozgrywających się w 1945 roku na Podhalu, w okresie walk między służbą bezpieczeństwa, a bandą „Pioruna", jedną z grup NSZ. Autentyczność tych faktów jest zresztą dla filmu sprawą najzupełniej obojętną. Kuźmiński pozbawił swój film polityki, wykorzystując tylko materiały sensacyjne jakie dostarczyła mu historia „Pioruna". Zagadnieniem interesującym twórców filmu była tylko sprawa rozbicia bandy i zdemaskowania jej krakowskich powiązań. Temu celowi przyporządkowano akcję. Stąd początkowo westernowy, później kryminalny charakter „Milczących śladów".

Autorzy filmu pokazują skutki działalności bandy i walkę jaką z nią toczy wojsko, a także ślady, po których funkcjonariusze UB dochodzą do odkrycia współpracujących z banda farmaceuty i antykwariusza, wreszcie „Pioruna" i „Studenta". Zbigniew Kuźmiński debiutując w długim metrazu pokazał film o dużym tempie, interesujący aktorsko (Nowak, Nalberczak, Wojciechowski), z dość efektownymi zdjęciami Karola Chodury. Film posiada świetne dialogi, których autorem jest Bogdan Czeszko.

E. S.

# „CYFRY"

W ciągu roku wchodzi na ekrany kin polskich około 200 filmów długometrażowych, które ogląda prawie 200 milionów widzów. Znaczy to, że każdy mieszkaniec naszego kraju, wliczając w to niemowlęta i starców, chodzi do kina sześć razy w roku. Kina miejskie stanowią największą liczbę kin w skali krajowej. Jest ich ponad 1.000, z około 300.000 miejsc. W tych kinach na około 820.000 seansów w ciągu roku ogląda filmy 150.000.000 widzów.

Wieś polska jest obsługiwana przez 1.750 kin stałych i ruchomych, które rocznie odwiedza 35.000.000 osób. Poza wymienionymi kinami pracuje w Polsce kilkaset kin tzw. zamkniętych. Są to kina na terenie zakładów pracy, jednostek wojskowych, szpitali, sanatoriów, szkół itd. Wspomnieć należy również o 165 Dyskusyjnych Klubach Filmowych, w których około 40 tysięcy członków systematycznie ogląda najwartościowsze pozycje kinematografii światowej.

Największym powodzeniem cieszy się w naszych kinach Polska Kronika Filmowa. Ta „filmowa gazeta" wydawana jest dwa razy w tygodniu. Kronikę pokazuje również w swoim programie telewizja. Z filmów fabularnych najlepsze wyniki osiągają: „Krzyżacy", „Skarb", „Zakazane piosenki", „Ostatni etap". Piątą pozycję dopiero zajmuje pierwszy film zagraniczny „Czerwone i czarne". Wszystkie te filmy „legitymują się" liczbą widzów przekraczającą 7 milionów

A. N.

*Tu była tajna radiostacja*

# Herr Schmiedtke przychodzi o 7-ej

## Dalszy ciąg

ze str. 1

sam już od kilku miesięcy: Rzesza Niemiecka, Berlin, Reichsminister von Ribbentrop. I tym razem chodziło o Gdańsk, o prowokacje hitlerowskich bojówek rekrutujących się z członków tzw Freikorpsu oraz Heimwehry wobec zamieszkałych w tym mieście obywateli narodowości polskiej i urzędów RP działających w Gdańsku na mocy postanowień wersalskich. Strona polska domagała się położenia kresu awanturom, a ponadto odesłania z powrotem do Niemiec wszelkich zgromadzonych w porcie materiałów wojennych, zaprzestania budowy obiektów przeznaczonych dla wojska fortyfikacji.

— *Podaliśmy Państwu wiadomości* — oznajmił speaker. A potem z głośników buchnęło:

*Nikt nam nie weźmie nic,*
*Nikt nam nie zrobi nic*
*Bo z nami Śmigły, Śmigły,*
*Śmigły—Rydz!*

Maria Turlejska w swojej książce noszącej tytuł *Rok przed klęską* dokonała skrupulatnego bilansu zdarzeń, które miały miejsce w ciągu tych 31 sierpniowych dni jakie poprzedziły wybuch drugiej wojny światowej. Przypomnijmy sobie:

Już od czerwca napływała do Gdańska amunicja, broń, nawet lekkie czołgi, działa i samoloty. 17 czerwca 1939 roku minister propagandy III Rzeszy — Józef Goebbels w publicznym przemówieniu i przy aprobującym ryku Parteigenosses z NSDAP zapowiedział przyłączenie tego miasta do Niemiec. Do „wolnego miasta" — bez zgody Polski i wbrew statutowi przybywali z Prus Wschodnich i Rzeszy oficerowie SS oraz setki żołnierzy. Wzmacniali oni Freikorps, który niedługo liczył ok. 20 tys. ludzi. Pod samym Gdańskiem przystąpiono do budowy umocnień i stawiania zasieków. Wszystko to działo się pod pobłażającym okiem Anglii i Francji, mimo że te poczynania groziły bezpieczeństwu jednemu z sojuszników tych państw — Polsce. Istniały realne podstawy, że rząd brytyjski pogodzi się z faktem niemieckiego zamachu stanu w Gdańsku i samowolną decyzją Senatu Miasta o połączeniu Gdańska z Rzeszą. Dopiero powszechne oburzenie i nacisk międzynarodowej opinii publicznej skłoniły premiera Chamberlaina do wyrażenia w Izbie Gmin poglądu, że *„Anglia udzieli Polsce pomocy w przypadku wyraźnego zagrożenia jej niepodległości."* Było to oświadczenie równie gołosłowne co wykrętne.

Tymczasem wypadki zaczęły nabierać cech lawiny. 18 sierpnia rząd polski za pośrednictwem swojego komisarza w Gdańsku — Chodackiego proponuje Senatowi Wolnego Miasta podjęcie negocjacji i oświadcza, że jest skłonny do pewnych ustępstw.

Prezydent Senatu — dobrze znany łodzianom — Greiser odpowiada: Nein! Jednocześnie konsul niemiecki w Gdańsku — Veeseumeyer sugerował Senatowi zerwanie rozmów, chciał doprowadzić do wyrzucenia gwałtem polskich celników, otworzyć granice z Prusami Wschodnimi, aresztować wszystkich Polaków mieszkających w tym portowym mieście, proponował zaatakować polski garnizon stacjonujący na Westerplatte. Chodziło o to, by sprowokować Polskę do kontrakcji.

23 sierpnia do Gdańska zawinął „w odwiedziny" pancernik „Schleswig-Holstein", zamiast zapowiedzianego krążownika „Königsberg", i skierował swoje lufy 14 dział na umocnienia polskie na Westerplatte.

28 sierpnia w Rzeszy Niemieckiej wprowadzono wojenny system kartkowy. W Gdańsku konfiskowano polskie magazyny pszenicy, nafty, aresztowano i bito, wyrzucano z domów ludność polską. Wojska niemieckie wkroczyły do Słowacji pod pozorem obrony jej przed Polską. Wcześniej — 22 sierpnia w Obersalzbergu, wobec grona członków Ober Komando der Wehrmacht, zabrał głos sam Adolf Hitler:

— *Gdy przystępuje się do wojny* — powiedział — *chodzi nie o prawo. Nie dopuśćcie do serc litości. Postępujcie brutalnie. Zniszczenie Polski jest sprawą najważniejszą. Chodzi o wyeliminowanie żywych sił, a nie osiągnięcie pewnej linii. Postaram się o propagandową przyczynę rozpoczęcia wojny. Obawiam się tylko, że w ostatniej chwili jakiś Schweinhund wystąpi z propozycją mediacji. Poczyniłem już odpowiednie przygotowania polityczne, droga dla żołnierza jest otwarta!*

29 sierpnia Polska Agencja Telegraficzna podała: *W całym kraju wzmogły się akty dywersji ze strony niemieckich tajnych ograniczacji. Wczoraj, wybuch bomby zegarowej zniszczył stację kolejową w Tarnowie. Ofiarą padło kilkanaście osób.*

*Policja państwowa aresztowała 300 dywersantów na Pomorzu i 500 na Śląsku..."*

* * *

Wypada cofnąć wskazówki dziejowego zegara. Nim Hitler mógł powiedzieć w sierpniu 1939 roku — „Poczyniłem już odpowiednie kroki i przygotowania polityczne, droga dla żołnierzy jest otwarta", na ziemiach polskich — wcześniej — miało miejsce szereg wydarzeń, które umożliwiły brunatnemu wodzowi wygłoszenie tych słów.

Przedwojenne statystyki stwierdzają, że w Polsce do roku 1939, mieszkało blisko 800 tysięcy ludzi przyznających się do narodowości niemieckiej. Mniejszość ta dysponowała dużymi możliwościami ekonomicznymi, wystarczy jeśli powiem, że w jednym z powiatów pomorskich 90 proc. własności ziemskich należało do Niemców. Bardzo podobna było sytuacja w Łodzi, gdzie zdecydowana większość fabryk była w rękach niemieckich bądź kapitału mieszanego.

Do wybuchu wojny, na terenie Polski — jak znowu stwierdza Maria Turlejska — wychodziło w języku niemieckim około 100 czasopism, w tym 34 dzienniki. Mniejszość niemiecka prowadziła oficjalną działalność polityczną za pośrednictwem następujących partii: Deutsche Vereinigung, Deutscher Volksverband, Deutscher Volksbund oraz Jungdeutsche Partei. Ta ostatnia wypłynęła na szersze wody dopiero po dojściu Hitlera do władzy — czyli w roku 1933 i ze wszystkich sił zmierzała do podporządkowania sobie innych partii niemieckich. Na czele JDP stał znany hitlerowiec — inż. Rudolf Wiesne.

Były jeszcze inne środki działania.

Nazywały się niemieckimi organizacjami społeczno-kulturalnymi. Były to wszelkiego rodzaju kółka śpiewacze, dramatyczne, stowarzyszenia oświatowe, towarzystwa i kluby sportowe, turystyczne, kasy wzajemnej pomocy materialnej, spółdzielnie, prywatne banki i szkoły. Środki finansowe potrzebne dla ich utrzymania płynęły z Berlina. Ten sam Berlin kontrolował działalność.

* * *

Przy stole siedziało trzech mężczyzn. Mundur jednego z nich zdradzał wysokie stanowisko zajmowane przez jego właściciela w hierarchii dygnitarzy III Rzeszy. To właśnie on zagadnął.

— Plan jest chyba jasny. A więc — czy zgadza się pan, Herr Lorenz?

— Jawohl Herr Obergruppenführer!

— Rozumiem, że będzie pan ściśle współpracował z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, ale jako funkcjonariusz Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, może pan wciągać do współdziałania inne komórki. Co pan proponuje?

— O ile wiem tzw. Instytut Spraw Zagranicznych w Stuttgarcie dysponuje kartoteką Niemców zamieszkałych poza Rzeszą, a specjalnie w Polsce...

— Doskonale. A poza tym?

— Główny ciężar działania trzeba złożyć na komórki legalnie lub też w ukryciu działające w Polsce. NSDAP. Centralą może być grupa warszawska. Parteigenosse Bohle twierdzi, że wydawany przez nią miesięcznik „Idea i Wola" może przemycać zaszyfrowane polecenia i rozkazy... w sposób legalny!

Trzeci z obecnych gestem potwierdził te słowa.

— Nie wolno rezygnować z żadnej, nawet najmniejszej grupki oddanych Führerowi Niemców. Pamiętajcie, że każdy Niemiec za granicą musi być hitlerowcem! To znaczy mającym oczy i uszy otwarte, wykonujący nasze polecenia tam gdzie się znajduje! Cel tego działania jest, powinien być im znany — głos Obergruppenführera Heydricha podniósł się i nabrał tonu rozkazu — brzmi on: „Wir wollen heim zum Reich"! Tak, chcemy z powrotem do Rzeszy! Jesteśmy przecież narodem stworzonym i wybranym przez Boga do panowania.

* * *

Z rządowego budynku który mieści się przy berlińskiej Wilhelmstrasse popłynęły odpowiednie dyrektywy.

### ZA PIĘĆ DWUNASTA

Byłem wtedy siedmioletnim szkrabem i pomruki nadchodzącej wojny docierały do mnie tylko wtedy, jeżeli to „coś", o czym starsi potrafili rozmawiać godzinami, miało związek z wydarzeniami dziejącymi się w zasięgu moich oczu. Ulica Przędzalniana pod tym względem nie nastręczała specjalnych okazji. Do sklepu Zeidla mieszczącego się w parterowym drewniaku na rogu Napiórkowskiego biegło się po cukierki lub pół kilo ulików, najlepszy chleb był u Hornunga, a najświeższe gazety trzymał w swoim kiosku pan Żelazko.

Już od kilku tygodni na szpaltach dzienników zaczęły się pojawiać sensacyjne doniesienia. 18 sierpnia 1939 roku łódzkie „Echo" podało, że „władze po dokonaniu rewizji, zamknęły i opieczętowały składy firmy K. Somya z ulic Piotrkowskiej 102. Właściciel podejrzany jest o wspomaganie tajnej organizacji niemieckiej". Ta sama gazeta w kilka dni później informowała swoich czytelników: „Wczoraj władze polskie podczas rewizji zarządzonej przez prokuratora znalazły w mieszkaniach urzędników niemieckiego banku spółdzielczego — Deutsche Genossenschaftsbank: Herberta Schmiedtke oraz Eugeniusza Pfeifra broń i amunicję. W mieszkaniu Hansa Himmla w Nowosolnej ujawniono duże ilości dynamitu oraz nitrogliceryny. Policja aresztowała dalszych 11 wspólników, w tym 2 Niemców przybyłych z Rzeszy. Śledztwo trwa." Jednego tylko dnia prasa krajowa donosiła o: „zaaresztowaniu niejakiego Hansa Thiena — mieszkańca Poznania, który dowodził komórką dywersyjną, a u jej członków podczas rewizji znaleziono materiał wybuchowy i broń; w powiecie rybnickim wykryto magazyn amunicji, skonfiskowano broń maszynową i kilkadziesiąt tysięcy sztuk naboi, hitlerowskie ulotki oraz setki opasek z „hackenkreuzem"; w Sierakowie, w piwnicy jednego z domów gdzie mieszkali Niemcy, polska Policja Państwowa wykryła 5 ręcznych karabinów maszynowych pistolety, puszki z nitrogliceryną dynamitem; na stacji w Makoszowach bojówka niemiecka złożona z członków oficjalnie działających w Polsce organizacji — *Jungdeutschepartei* oraz *Deutscher Volksbund* — dokonała ataku na polski posterunek graniczny.

* * *

Był wieczór 29 sierpnia. Nic nie wskazywało na to, że tej nocy mieszkańcy ulic Skierniewickiej, Przędzalnianej i Napiórkowskiego nie położą się spać.

O dziesiątej, równocześnie pod drewniak Zeidla i bramę domku piekarza Hornunga przy Przędzalnianej 86, podjechały dwa ciężarowe samochody. Policja. Brama nawet pod kolbami karabinów nie chciała ustąpić, weszli przez płot. Gruntowna rewizja dokonana w piwnicach sklepu Zeidla i mieszkaniu Hornungo dała obfity plon. Następnego dnia reporter „Echa" donosił: „Wczoraj w nocy policja wykryła magazyny broni zgromadzonej przez niemiecką dywersyjną organizację w piwnicach i mieszkaniu piekarza Hornunga z Przędzalnianej 86 i kupca Zeidla z tej samej ulicy, spod numeru 92. W ręce władz wpadło 25 karabinów, duże ilości amunicji. Aresztowano cztery osoby."

W tłumie przyglądających się tej nocnej akcji ludzi, u boku przygarbionej kobiety, stał mężczyzna wspierający się na lasce.

— Chodź Wanda do domu — powiedział. I jakby z przekąsem — dołożył: — Ten się śmieje, kto się ostatni śmieje!

Nazywał się Wolter. Mieszkał w tym samym domu co ja, na Przędzalnianej pod 106 i prócz różnicy kilkudziesięciu lat wieku, dzieliło nas także piętro.

### SĄSIAD I SPÓŁKA

Nigdy bym nie przypuszczał że człowiek ten przypomni mi się po latach i to zza grobu: w roku 1945 wraz z całą rodziną popełnił w parku Źródliska samobójstwo.

Odezwał się ze starych papierzysk.

Przyznaję, że już dawno interesowałem się tą sprawą. Chodziło o niemiecką „Piątą Kolumnę", jej działalność w Łodzi w dniach poprzedzających wybuch konfliktu polsko-niemieckiego, a co za tym idzie II wojny światowej. Miałem w ręku drobne, i dla ujawnienia całego mechanizmu, nic nie znaczące fakty, choć by w postaci wiadomości, że „Piąta" wykorzystywała wieżę kościoła św. Jana mieszczącego się przy ul Sienkiewicza dla pracy radiostacji, przy czym jedną z osób zamieszanych w tę aferę miał być ksiądz Angerstein, podobna sprawa miała miejsce na tzw. Dołku, a więc w okolicy ulic Emilii, Wilczej i Gołębiej, gdzie w ogrodach będących własnością Niemca — Barego również pracowała krótkofalówka „nakryta" przez polski kontrwywiad. Jakim uzupełnieniem były inne fakty: rewizja, zamknięcie lokalu i likwidacja niemieckiego koła śpiewaczego w Zgierzu które okazało się komórką tajnie działającej NSDAP i „skrzynką" dla szpiegowskich kontaktów.

Nie wiedziałem jeszcze, że „Herr Schmiedtke" był tak bardzo blisko. Tylko, że wtedy oficjalnie nazywał się Wolter.

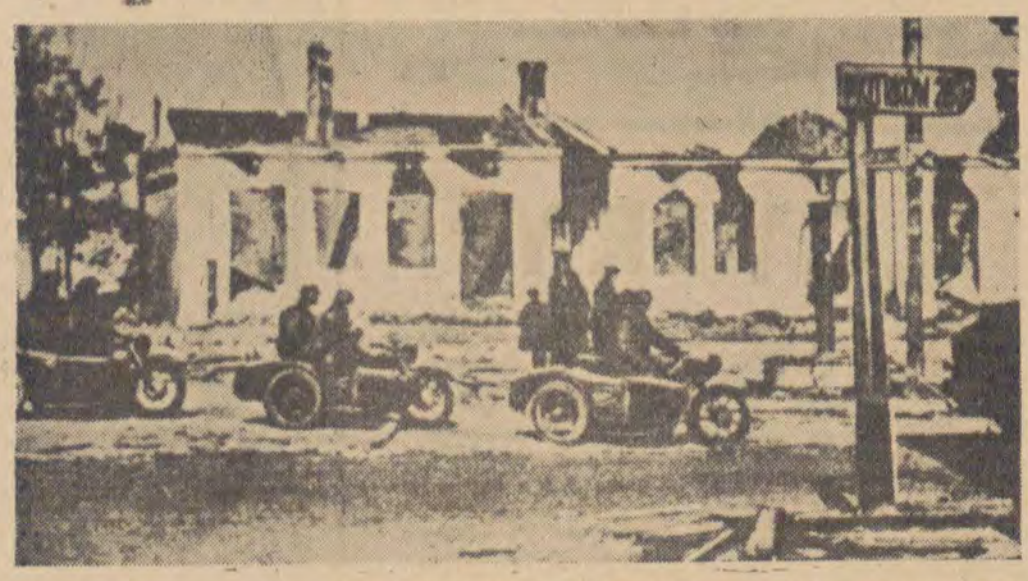

*Niemiecka zmotoryzowana szpica hitlerowskiego Wehrmachtu na drodze wiodącej do Piotrkowa. — Wrzesień 1939 r.*

LUDOWE RYSUNKI FRANCUSKIE ZE ZBIORÓW GOLDSTEINA W MUZEUM NARODOWYM W KRAKOWIE.

*Polacy przysięgają wierność księciu Poniatowskiemu.*

*Znalezienie zwłok księcia Poniatowskiego w Elsterze.*

*Ks. Poniatowska otrzymuje wiadomość o śmierci swego męża.*

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

*Notatki z podróży po NRD* (II)

# HISTORIA *nie mija* BEZ ECHA...

### „CHCIEJMY ŚNIĆ OBOJE"

Siedzę sobie w starej winiarni „Pod Białym Łabędziem" w Weimarze, tuż obok domu Goethego i doznaję sprzecznych uczuć. Tęskno jak na obczyźnie i słodko jak w domu. Tęskno, przy sąsiednim stole rżną w karty starsi panowie, śpiewają obcą piosenkę, żeby to chociaż zadeklamował który: „Nach Hause zogen zwei Grenadieren", to się zresztą da śpiewać. Ale klasyczny repertuar umarł, milczy porzucona przed wielu laty gitara obok prostego łóżka Schillera, milczy od dziesiątków lat mały, dziecinny fortepianik na którym grała Goethemu pani Szymanowska. Może to jej gra torowała drogę Mickiewiczowi do salonów? Na śniadanie podali prawdziwe dziwactwo — zsiadłe mleko z konfiturami, zapewniając, że to prawdziwy rarytas. Myślałem wtedy o zwykłej kapuście, wiecie, takiej na gorąco, albo czerwonej, ostrej szczypiącej i jeszcze o kiszonym ogórku. Obco.

Pod Białym Łabędziem reprezentuje Polskę tylko śliwowica, my tu jesteśmy ptaki przelotne. A jednak, chociaż niemieckie perfumerie inaczej pachną, inaczej tu żyją i mówią ludzie, czujemy się trochę jak w domu. I to nie z racji śliwowicy. Tą częścią kraju rządzili przez długi czas Sasi, zasiadali przez kilkadziesiąt lat na tronie polskim u schyłku Rzeczpospolitej Szlacheckiej, związki odnowiły się jeszcze na kilka lat w okresie Księstwa Warszawskiego.

Odczucie historii jest doprawdy paradoksalne. No bo przecież Sasi, którzy nami rządzili nie przemęczali się w Polsce. Mało o tym słychać, żeby się który głowił nad poprawą upadającej Polski. Stary Brühl wywiózł od nas to i owo do Drezna, był z niego nie najgorszy szabrownik, słowem nic nam ci Sasi specjalnego nie dali, a jednak? Z prawdziwym wzruszeniem oglądaliśmy we wspaniałej Galerii Drezdeńskiej portret pani Orzelskiej. Pomyślcie tylko — Madonna Sykstyńska. Salomony, Saule, patrycjusze rzymscy, najwięksi mocarze świata, a obok nasza Orzelszczanka, miss Polonia z ostatnich lat Rzeczpospolitej, wisi, króluje, piękniejsza od Europy porywanej przez byka.

Pamiątki polskie sprawiały nam dużo radości. W muzeum historycznym, na terenie Zwingera — polska zbroja, pyszny strój koronacyjny Sasa, zdaje się tego który łamał podkowy, Mocnego, chęć nietęgiego w polityce. Obok tabliczka informująca, że August przepędził konkurenta Leszczyńskiego. Nowy powód do dumy. Polacy nie gęsi i w Dreźnie ich znają. W końcu każdego orła, a nie brak ich w herbach, freskach nad bramami pałaców drezdeńskich, braliśmy za naszego. I tak to serce omija rozum, feudalni Sasowie służą, przynajmniej jakoś uczuciowo, przyjaźni polsko-niemieckiej.

Ślady polskości znalazłem nawet w Meissen. Nie, nie chodzi mi o to, że w te strony zapuszczał się ze swoim wojskiem Bolesław Chrobry. Nasz przewodnik ani słowem na ten temat nie wspominał. Słusznie, obcy królowie zawsze się gdzieś wyprawiali, Chrobry to i na Kijów, Karole-Gustawy na Niemcy, Polskę i Rosję, Sułtany gdzie się dało, Napoleon na całą Europę i nic dobrego z tego nie wynikało. Przewodnik mówił o sławnych trubadurach, po niemiecku — Minnesaenger. A więc na zamku Albrechta śpiewał pieśni rycerskie sławny Walter von der Vogelweide, Henryk der Erlauchte, Henryk von Meissen i jeszcze inni. Patrzyłem wtedy na potężną tablicę wmurowaną w ścianę słynnej katedry. Wiszą na niej równiutko poukładani po porządku tutejsi książęta. Pomyślałem sobie, tyle luda, tu musi być Polak. I rzeczywiście, panowała na zamku córka naszego Kazimierza IV Jagiellończyka dobrze czy źle, tego nikt w Meissen dziś nie wie, ja też nie. Chodzi mi zresztą o tę przyjemność. Nie tylko Sasi eksportowali książąt, my też. Oni do nas, my do nich. Piszę o tym i dlatego, że tradycja wymiany ludzi dotrwała dnia dzisiejszego.

No, ale prawdziwy kłopot mieliśmy z polonikami w Lipsku. Nasz przewodnik prowadzi nas na pole bitwy i powiada, że tu gdzie stoi olbrzymi pomnik dostał w skórę Napoleon. Wszystkie narody Europy stanęły przeciw zaborcy, który chciał pokrajać nasz kontynent na talarki i przyrządzić po swojemu.

Pomnik narodów brzydki, na mój gust, ciężki, bez odrobiny wdzięku, a Napoleon, znaczy się, czarny charakter Europy, zakała, dobrze mu tak. Sasi zrobili słusznie zdradzając go, co prawda na samym końcu, ale za to skutecznie. Polacy natomiast wierni do końca. I oto dowiadujemy się, że jedziemy z kolei zobaczyć Elsterę i miejsce na pomnik księcia Józefa, bohatera narodowego Polaków. A ów bohater właśnie był wiernym napoleonidą, Napoleona zaś maluje się na czarno w drugim końcu miasta.

Pomnika nasz książe nie ma, zwykły kamień, skromny, niepozorny, wciśnięty w kąt bocznej uliczki. Elstery też nie ma, rzeczka wygląda w tym miejscu na młodszą siostrę Łódki, brudna, zabagniona, ledwie widoczna. Ale mieszkańcy Drezna postawią piękny pomnik, naprawdę o nas pamiętają, a pomniki drezdeńskie, cóż dużo mówić, bardzo są udane.

Chcecie to wierzcie, chcecie — nie wierzcie, ale książę Józef zrobił karierę wśród ludów germańskich, nie lubią Napoleona, a jego wiernego do końca rycerza przeciwnie. Inna rzecz, już po kilkunastu latach występował nasz bohater jako generał... austriacki, albo kniaź ruski, ale osadził się mocno w świadomości. Na początku tego wieku znaleziono u chłopa szwajcarskiego rysunek księcia na szkle, chował go jak relikwię, bo to był wielki rycerz. Proszę przyjrzeć się reprodukcji, szczera, naiwna wzruszająca, proszę przeczytać podpis: „Brinz Baniadofsgy". U ludów romańskich kariera ta wydaje się bardziej zrozumiała. Zwróćcie uwagę na urocze rysunki ludowe z Francji, one sięgają aż do spraw osobistych księcia, to znak, że bohater jest ludziom bardzo bliski. Aby historia księcia piękniejsza była, domalował mu lud francuski uroczą żonę i córeczkę, których nigdy nie miał. Fabryka cygar w Havanie nazwała się jego imieniem.

Siedzę tedy w winiarni „Pod Białym Łabędziem", dumam nad polonikami weimarskimi. Też cały rozdział. Przede wszystkim można mówić z czystym sumieniem o polskich przyjaciołach Goethego. Hrabia Walewski, właściciel dóbr H. Nakwaski, hr. Edward Fredro ze Lwowa, generał Umiński, pan Ujejski, pani Galewska z Poznania, starościna i poetka z pewnością w cudzysłowie, Kazimiera Wołowska i jej siostra Szymanowska, pierwsza pianistka na dworze cesarzowej Katarzyny, romantyczna i piękna.

Goethe był już mocno starszym panem, kiedy ją poznał. Jeśli wierzyć oprowadzającej po jego domu przewodniczce, Szymanowska bardzo wielkiego pisarza odmłodziła. Pewnie to prawda, Goethe pisał w roku 1823 do p. Fr. L. Schulza, radcy miejskiego z Berlina:

„Pani Szymanowska... oczarowała mnie grą swą prześliczną, niejedną arcyprzyjemną chwilę mam jej do zawdzięczenia. Wirtuozostwo i obrzymi jej talent tyranizują mnie niekiedy tak, że ulegam emocjom przez nią wywołanym; owiany słodyczą jej osoby, uspokajam się powoli".

Pani Maria gościła u Goethego, ten ją fetował z prawdziwym rozmachem. Pożegnanie odbyło się w listopadzie 1823 na dworze księżny weimarskiej. Szymanowska powiedziała ostatnie słowa: „Bogata i na duszy wzmocniona odchodzę od ciebie, wielki mistrzu, przez ciebie, panie, odnalazłam wiarę w siebie i czuję się lepszą i godniejszą od czasu, gdy mnie szanujesz. Żadnych słów podzięki i pożegnania. Chciejmy śnić oboje o rychłym zobaczeniu się naszym. O, gdybym starszą już była i babunią się czuła, nazwałabym wnuczka mojego Wolfgangiem, a pierwsze słowo, jakie by wyjęczyczył — to twoje imię".

Wielki weimarczyk poplakał się podobno, słowa przemówić nie mógł, w nocy zaniemógł z żałości, a mając nie jeden raz wzywał imię Szymanowskiej. Wzruszająca historia. Miłość, czy przyjaźń? Bóg raczy wiedzieć, w tamtych latach gustowano w wielkich słowach. W każdym razie, kiedy później przybyli Mickiewicz i Odyniec zastali drzwi otwarte.

Turyści polscy, młodzież niemiecka, wycieczkowicze z całej Europy, dzisiejszy Weimar pęcznieje od nich, słyszą wiele słów o wzajemnych związkach historycznych Polski i Niemiec. Cóż, w końcu wszyscyśmy dziećmi nieszczęsnej Europy, ale powiązani przecież nie tylko antagonizmami, lecz i stosunkami życzliwej współpracy, a nawet przyjaźni. W NRD odnajdują te przyjaźnie bez trudu, tak jak w NRF antagonizmy.

### JAK WYGLĄDAJĄ KOZINY?

Idziemy pokłonić się prochom Goethego i Schillera, gwarzymy sobie, oczywiście, po polsku. I oto zaczepia nas starszy pan, mieszkaniec Weimaru. Też mówi po polsku. Łodzianin z Kozin, pewnie łódzki Niemiec.

Jakie to dziwne, przecież on mógł być złym Niemcem, a jednak kiedy tak stoi przed nami i pyta jak wyglądają Koziny, co z Bałutami, czyśmy sobie Kościuszkę odbudowali stoje się bliski sympatyczny, naprawdę interesuje go rodzinne, bądź co bądź, miasto, może nawet trochę tęskni? Ściskam mu dłoń. Niemiec powiada, że jak się uspokoi, każdy będzie mógł zobaczyć rodzinny dom gdziekolwiek by stał. Ja też tak myślę, po wielkich wojnach nie wszyscy są na starych śmieciach i jeżeli odświeżanie pamięci coś znaczy, odświeżanie z dobrej woli, na pewno może ono służyć sprawie porozumienia między ludźmi. A co do Kozin i Bałut, i Kościuszki — mieliśmy się czym pochwalić.

W Dreźnie, znowu Polak, jak najbardziej autentyczny krajan. Technik, pracuje w niemieckim przemyśle. To dobry znak. Bywało na ogół odwrotnie, Niemcy imponowali nam opanowaniem techniki, przysyłali maszyny, fachowców. Teraz, choć jeszcze daleko nam do nich, wymieniamy specjalistów jak równy z równym. Nie tylko w technice. Polaków można spotkać także na studiach, czy w lecznictwie. Wymiana więc trwa. Książąt na zbyciu już nie mamy, w NRD także brak tego towaru, mamy jednak dzielnych ludzi, którzy pomagają sobie wzajemnie, na gruncie rzeczowym, to dobry grunt dla pożytecznych i bliskich stosunków. Miło jest oczywiście stwierdzić — księżna, książę Józef, książę Saski i król Polski, miło słyszeć, że nasze niezawodne Polki, podniecały wyobraźnię największych poetów, miej wszakże widzieć realną współpracę, wzajemną pomoc dziś.

*„Brinz Baniadofsgy" — Portret ludowy ks. Józefa, malowany na szkle, znaleziony w chacie chłopa szwajcarskiego pod Lucerną.*

---

Archiwa mają to do siebie, że nie tylko pachną kurzem. Przechowują także prawdę o dniach i ludziach, którzy już dawno przestali posuwać pionki na szachownicy. Ta teczka figurująca w Centralnym Archiwum MSW pod nr 24 na kartkach od 60 do 71 zamknęła historię „Herr Schmiedtkiego". Niestety — bez happy endu...

Był skromnym urzędnikiem. Pewnego wieczoru do mieszkania przy Przędzalnianej 106 zajechał gość. Trudno dziś odtworzyć przebieg tamtej rozmowy. Dość, że od tego dnia Herr Wolter zaczął się cieszyć niezwykłym mirem wśród swoich pobratymców. Do jego mieszkania zachodzili nie często. Zresztą — oficjalnie prowadził przecież u siebie „kasę" czyli prywatny banczek pożyczający za drobnymi procentami niewielkie sumki. Odwiedzali go więc tylko bliscy znajomi, członkowie legalnie działającej „towarzyskiej kasy". Nie wiem jakimi sposobami doszedł do tego nasz kontrwywiad W teczce nr 24 leży do dziś mała karteczka: „Podejrzewam, że niejaki Wolter jest członkiem organizacji hitlerowskiej i pełni w niej odpowiedzialną funkcję. Podaje zauważone kontakty: z piekarzem Hornungiem, nie jakim Zeidlem, zauważony był także w okolicy niemieckiej kolonii w Nowosolnej. Nr 1013".

* * *

Zawsze wyznaczał spotkania o godzinie 7-mej. Stawiał się punktualnie na miejsce bez względu na to czy „kontakt" był w śródmieściu czy też na peryferiach Łodzi. Człowiek wsnie rający się o laskę nie budził podejrzeń. A przecież to właśnie w jego ręku skupiały się nici działalności łódzkiej „Piątej", to stąd z małego domu przy Przędzalnianej instruowano ośrodki i komórki szpiegowskie działając pod przykrywką „kół śpiewaczych". „towarzystw kulturalnych" „klubów sportowych", „kas pomocy" — oczywiście wszystko wyłącznie „Nur für Deutsche". Sam był niewidoczny. Nawet wtedy, gdy w lasku Hornunga za cmentarzem zarzewskim odbierał od kilku nowicjuszy przysięgę na wierność brunatnemu Adolfowi.

2 września 1939 roku — jak codziennie — powiedziałem grzecznie „Herr Wolterowi" dzień dobry. Nikt wtedy nie przypuszczał, że po raz ostatni. Wyjechał. Podobno na wieś.

W kilka dni później przed dom na Przędzalnianej zajechało osobowe auto ze znakami „błyskawic".

— Herr Schmiedtke ist da? — zapytał oficer.

* * *

POLSKA AGENCJA PRASOWA DONOSI: *„Zarząd Krajowy odwetowej organizacji niemieckiej CDU/CSU — „Odra-Nysa" przeprowadza akcję, która ma na celu ujęcie w spisy nazwisk osób narodowości niemieckiej mieszkających na „ziemiach wschodnich". Warto przypomnieć, że jest to pomysł nie nowy i wyszedł m. in. od Oberlaendera, który w ramach tzw. Związku Niemczyzny za Granicą" poprawił działalność szpiegowską i rozkładową. Związek był częścią „Piątej Kolumny" Hitlera..."*

**KRZYSZTOF POGORZELEC**

## Dalszy ciąg ze str. 1

**Geyerowie, którzy lokowali kapitał w łódzkiej bawełnie i budowali ponure famuły dla wynędzniałych włókniarzy, ale faktem jest, że do Geyerów Łódź szczęścia nie miała.**

**W Radogoszczy zginęło w sumie 30 tys. osób, a ostatniego dnia przed wyzwoleniem — mroźnej, styczniowej nocy, kiedy komendant Pelzhausen przygotowany miał już samochód do ucieczki na zachód, zdążył wydać jeszcze rozkaz podpalenia żywcem wszystkich znajdujących się w obozie więźniów. Przez całą noc płonęła żywa pochodnia, a do tych, którzy z okien próbowali się rzucać na płaski daszek przybudówki siekli z karabinów strażnicy trzymani na wieżyczkach rozkazem Plezhausena. Uratowało się ośmiu ludzi. Ośmiu z tysiąca pięciuset: kobiet, mężczyzn, dzieci. Uratowali się, bo po trupach współtowarzyszy dotarli na najwyższe piętro do zbiornika z wodą i trzymając się kurczowo krawędzi przetrwali straszną noc i nieskończenie długi świt 18-go stycznia 45-go roku. Zeznawali w procesie: Błatnicki, Brzozowski, Jabłoński, Urszulak, Zieliński, Popławski, Zarnecki, Grzelęska. 8-miu ludzi uratowanych z pożogi, 8-miu ludzi, których zeznaniom trudno było uwierzyć.**

**Powiedział mi jeden z sędziów: „Pelzhausen to Neron XX wieku. Chciał mieć też żywą pochodnię. Podpalił 1500 osób."**

**Cóż z tego, że życiem zapłacił za zbrodnię? Nawet nie można ustalić nazwisk tych, którzy żywcem spłonęli. Obóz był przejściowy. Wiadomo tylko, że ogromną większość stanowili w nim mieszkańcy Łodzi, wiadomo, że w ostatnich chwilach przyjechał tam transport ze Skierniewic.**

**Na rogu Zgierskiej i Sowińskiego zastanie niebawem otwarte mauzoleum ofiar Pelzhausena. Zostawiono wypalone mury, na granitowej płycie ustawiono sarkofag z piaskowca. Przed sarkofagiem obelisk trzydziestometrowy, rzeźba Tadeusza Łodziana, przedstawiająca piszczel ludzki, ogromny, w niebo sterczący.**

**Okolono murem pieczołowicie, miejsce straszliwej zbrodni. Na granitowej płycie łodzianie położą wieńce biało-czerwonych kwiatów, a radogoszczanie, którzy w ową noc ze ściśniętymi sercami stali przy oknach obserwując łunę szeroką na niebie, przyniosą małe wiązanki kaczeńców i wetkną między wieńce z szarfami.**

*Radogoszcz — miasto czy wieś?*

# W mieście—

Ulice mają tu nazwy pełne przestrzeni, kolorów, zapachów. Na przedmieściu ściśniętego, zadymionego i cuchnącego miasta, wychodząc widać naprzeciw tęsknotom łodzian, przybito na narożnych kamienicach, zawieszono na siatkach ogrodzeń, zatknięto za wystające framugi drewnianych chałup beżowe tabliczki z napisami: ulica Jeziorna, Złocieniowa, Trawiasta, Brzoskwiniowa, Lawendowa, Wiklinowa, Przedwiośnie i Szczęśliwa.

Radogoszcz została włączona do miasta w roku 1945. Przedtem była gminą wiejską mocniej właściwie związaną z pobliskim Zgierzem niż z przemysłową Łodzią. W materiałach Instytutu Historii PAN opracowanych przez Annę Rynkowską a dotyczących „początków rozwoju kapitalistycznego miasta Łodzi (1820-1864)" znalazłam opis miasta z roku 1860 sporządzony przez prezydenta Traegera i sekretarza Witkowskiego na zlecenie Komisji Rządowej do Spraw Wewnętrznych i Duchownych.

Cytuję: *„Miasto Łódź pod względem topograficznym jest położone na płaszczyźnie bez gór: od zachodu znajduje się las miejski, od północy ku wschodowi lasy do dóbr prywatnych Radogoszcza i Łagiewnik należące."* W tychże materiałach znalazłam pismo z roku 1864 wystosowane przez prezydenta Łodzi Rosickiego do wójta gminy Radogoszcz za praszające mieszkańców wsi do wzięcia udziału w targach wtorkowych i piątkowych przez miasto urządzanych.

Tak więc wieś żyła pod bokiem rozrastającego się, przemysłowego miasta z uprawy pól, hodowli bydła, a także handlu nabiałem, który furmankami dowożony był na place targowe przed kościołem i szpitalem wówczas się mieszczące. Ale związki z miastem były z początku luźne, parafia w Zgierzu się mieściła i dziś jeszcze, gdy tęgi organista zgierskiego kościoła górującego wieżami nad miastem humor ma dobry, namówić go można aby z dębowej szafy stojącej w rogu kościelnej kancelarii wyciągnął pożółkłe akta narodzin i zgonów radogoskich mieszkańców z datami sprzed lat stu a nawet stu sześćdziesięciu. Z tamtych też lat pochodzą pierwsze statystyki Łodzi i gmin przyległych dotyczące z których dowiedzieć się można, że np. w roku 1846 Radogoszcz liczyła 1062 mieszkańców, z czego połowa była pochodzenia polskiego, a połowa niemieckiego.

Z biegiem czasu, gdy Łódź robiła karierę na bawełnie, gdy miastu przybywało fabryk, kamienic, mieszkańców — Radogoszcz stawała się miejscem letnich wyjazdów, bliskich, niezbyt kosztownych, a jednak odpoczynków — od ciasnoty, dymów, od narastającego zgiełku. Więc w Radogoszczy lu-

*W osiedlu przy ul. Wołowej.*

dzie budować zaczęli domki murowane, jednopiętrowe, z werandami, sadzili przed oknami owocowe drzewka i kwiaty. Przyjeżdżali tu z miasta na letniska niemieccy właściciele drobnych fabryczek i żydowscy kupcy z Piotrkowskiej i Starego Rynku. Dzieciaki napełniały wrzaskiem półwiejskie podwórka, mężczyźni w koszulach z podwiniętymi rękawami spacerowali szosą w kierunku Zgierza lub nad brzegami pobliskich stawów, a stare Żydówki wieszały hamaki między rachitycznymi owocowymi drzewkami i osłaniały twarze przed słońcem małymi, śmiesznymi parasolkami. Z odnajmowania pokoi, z owych wyjazdów „na letniaki" żyła Radogoszcz w pierwszej połowie naszego wieku. Szosą Zgierską, przecinającą wieś przez środek, jechały ciężarowe samochody wyładowane starymi szmatami, albo belami bawełny — w zależności od kierunku — w pobliskim Helenówku zbudowano zajezdnię tramwajową, tu miasto wyrzucało na noc tramwaje, tu je czyszczono i naprawiano, aby nad ranem znów mogły wyjechać na służbę.

Mówiło się: wieś. Wieś podmiejska, ku Zgierzowi ciążąca. Właściwie nijaka. Troche pól i pastwisk, troche willi letniskowych, stawy pokryte rzęsą, ta zajezdnia przez miasto wypchnięta i ludzie — ni to chłopi, ni robotnicy. Częściowo na roli, częściowo w łódzkich fabrykach pracujący nie wyróżniali się żadnymi cechami szczególnymi. I tak jak w mieście — tak i tu podział klasowy przebiegał prawie równolegle z innym podziałem narodowościowym. Taka miniaturka Łodzi. Drobne warsztaty i murowane kamienice do Niemców należały, chałupy drewniane pod lasem, nad stawem — Polacy zamieszkiwali.

Jaka jest Radogoszcz dziś, anno 1961?

Wydaje mi się, że na północnym krańcu Łodzi między ulicami Czereśniową i Sowińskiego z jednej strony, a granicą miasta — z drugiej, mieszka i żyje życiem specyficznym 8 tys. 200 ludzi. Żyje nie jak w wielkim, przemysłowym mieście, nie jak na wsiach, których tyle wokół przysiadło, ale jak w małym miasteczku.

Ulica Zgierska zaczyna się przy Bałuckim Rynku. Stamtąd przychodzi na Radogoszcz ze swoimi kocimi łbami i dwoma rzędami tramwajowych torów. Od 150-go numeru do 260-go, aż do Poziomkowej — nosi nazwę ulicy. Dalej, za granicą miasta nazywa się już szosą i posiada szlachetną nawierzchnię — kostkę bazaltową. Zadbał o to Zgierz — pobliskie miasteczko, do którego z Radogoszczy bliżej jest niż do centrum Łodzi. Przejeżdżają Zgierską dwa tramwaje. Numer 45 — do Zgierza i 46 — do Ozorkowa. A na noc do zajezdni na Helenówku, gdzie mieści się ostatni tramwajowy przystanek na Radogoszczy, przyjeżdżają jeszcze: aleksandrowska „44" i wozy miejskie „4" i „11". Koło zajezdni na Helenówku, a więc na ulicach: Łozowej, Jabłoniowej i Cyprysowej mieszka sporo tramwajarzy. W niewielkich drewnianych domkach, albo w nielicznych tu kamienicach czynszowych. Mają blisko do zajezdni, jeżdżą często jako „awaryjni" wiadomo — pod ręką są, więc jak ktoś zachoruje i nie przyjdzie, dyżurny mówi zwyczajnie: „skaczcie, no, po Antka albo Staśka to pojadą."

A więc jest główna ulica, tak jak w małym miasteczku, jest kościół prowadzony przez Karmelitów Bosych, kilka sklepów, bar, poczta, ośrodek zdrowia, szkoła i całe nowe osiedle na Ziołowej. Przemysł — niewielki. Małe zakłady i warsztaty: mechaniczna stolarnia, dwie cegielnie, które już właściwie poza Radogoszczą leżą, ale że i kominy ze Zgierskiej dobrze widać i że kilka domów na zasypanych po wybranej glinie dołach tu stoi więc chyba i cegielnie należy włączyć do radogoskiego krajobrazu. Jest jeszcze spółdzielnia pracy kowalsko-ślusarska wyrabiająca podwozia, osie, felgi i tarcze do kół, jest składnica węgla, no i to chyba wszystko. Nie wiem czy więcej niż 200 osób pracuje na miejscu. Reszta dojeżdża do Łodzi. Pracują właściwie wszędzie: w fabrykach włókienniczych i w gospodarce komunalnej, w handlu i spółdzielczości, niewielka grupka w biurach i urzędach. Reprezentowane są najrozmaitsze zawody. Stanowiska służbowe — niskie lub średnie. Inteligencji w Radogoszczy nie mieszka dużo, sporo jest za to rzemieślników.

*Ul. Stawowa (pozostałość po przedwojennym stawie na Radogoszczy) i właściciel kwaśnych łąk — nieużytków*

Zastanawiałam się czy Radogoszcz nie jest tylko sypialnią — tak jak Nowe Tychy na Śląsku. Czy spełnia funkcje normalnej, miejskiej dzielnicy? Otóż wydaje mi się, że jest nawet czymś więcej niż dzielnicą naturalną. Jest małym miasteczkiem — samodzielnym niemal i specyficznym, tkwiącym w administracyjnych granicach Łodzi.

Było majowe przedpołudnie. Ciepło. Szłam ulicami Radogoszczy. Za siatkami łatanymi drutem kwitły owocowe drzewka, wiatr osypywał na ziemię białe i różowe płatki. Na balkonach nielicznych kamienic wietrzyła się bielizna, na podwórkach dzieci bawiły się wokół pomp studziennych, w ogródkach nad grządkami rzodkiewki i sałaty pochylały się kobiety wypinając tyłki na nielicznych przechodniów. Chłopcy biegli ulicą wzdłuż cuchnącego rynsztoku i prowadzili przed sobą na zakrzywionych drutach fajerki ściągnięte z matczynych kuchni. Dziewczynki w szkolnych fartuszkach szły w kierunku Jesionowej — do szkoły. Obejmowały się ramionami, z daleka widać było kołyszące się w jednym rytmie parciane tornistry. Na wystawie zgierskiego baru, pod wazonem pełnym chryzantem z różowych piór, kobieca ręka pieczołowicie ustawia tekturową tabliczkę z napisem: „wyprzedaż ogórków własnych — 1 kg — 5 zł." Drzwi od ulicy do baru są zawsze zaryglowane. Doprawdy trudno zrozumieć dlaczego. Ale widać wszyscy się tu przyzwyczaili, że wchodzi się od podwórka przez sień pełną zapachu kiszonej kapusty. Zapach jest silny, wdziera się na salkę niewielką z kilkoma stolikami i szynkwasem, za którymi bufetowa sennie odgania muchy z plastrów kiełbasy i jajek na twardo. Na stolikach lepkie od brudu ceraty i talerze głębokie po flakach. Kilka kromek suchego chleba, niedopita oranżada w butelce. Pusto. Pod wieczór można tu spotkać klientów, ale też nie za wielu. Wolą chodzić do prywatnej bimbrowni, której adres podawany jest szeptem, na ucho, ze znaczącym zmrużeniem oka. Wiadomo że tam wódkę można dostać i w sobotę i dnie wypłat. A jak „mamusia" nawali i bywa — klienci zastaną drzwi zamknięte — wskakuje się wtedy w tramwaj i jedzie po półlitrówkę do Zgierza, gdzie łódzkie przepisy prohibicyjne nie obowiązują.

Ale teraz jest zwykły dzień tygodnia, południe, ciepło, mężczyźni w robocie i nikt o wódce nie myśli. Do sklepu „na dołku" (radogoszczanie nazywają tak część ulicy Zgierskiej stromo w dół zbiegającą) wchodzi zakonnik w brązowym habicie i z pokaźnej, papierowej torby wysypuje bilon na ladę. Kierowniczka przelicza pieniądze, kobiety z koszykami zagadują zakonnika a gdy już wymiana na papierki zostaje dokonana

# miasteczko

ku zadowoleniu i wygodzie obu stron, zakonnik lukrowanymi piernikami zostaje poczęstowany: „brat Stach to taki łaskawy, zawsze po niedzieli pamięta, żeby trochę bilonu przynieść".

W ogóle tych dwunastu zakonników żyjących tu od 45-go roku przy kościele na Czereśniowej radogoszczanie lubią, chętnie u nich ślu by biorą, nie zważając że parafia ich teraz właściwie na Julianowie, w nowym kościele się mieści.

Obok spożywczego sklepu — następny, z przyrządami i naczyniami gospodarstwa domowego. Połowa skromnego wnętrza zastawiona kubłami i konewkami. „Po co tyle tego?" — pytam. „Pani mówi — tyle! Za dwa trzy dni ani śladu po konewkach nie zostanie." Prawda, toż tu naokoło wszędzie ogródki przy domach, no i spory teren miejskich ogrodów działkowych w 80 procentach przez radogoszczan użytkowany, bo łodzianom nie bardzo chce się tu przyjeżdżać. Podobno ziemia licha i z wodą nie byle jakie kłopoty. Dzielnica nie jest skanalizowana, a na terenie działkowych ogrodów tylko dwie studnie są wykopane, więc ciężkie kubły i konewki kawał drogi trzeba dźwigać.

Sklepów jest w Radogoszczy kilka. Wszystkie — z wyjątkiem jednego, spożywczego — przy Zgierskiej. A więc: 5 spożywczych, 3 mięsne, 2 gospodarcze i jeden z materiałami. Ten ostatni rzadko kiedy jest otwarty, albo remont, albo kierowniczka do Łodzi wyjechała. Materiały, to głupstwo„ nie codziennie się kupuje, ale że szpilki, igły i tasiemki tylko tam można kupić więc gospodynie narzekają, że „po byle guzik do miasta trzeba jechać."

Ważniejsza od pasmanterii jest apteka. Nie ma jej na całej Radogoszczy. Najbliższa — w Zgierzu lub na Julianowie. A ośrodek zdrowia jest. I karetka przeraźliwie trąbiąca w wąskich uliczkach i dwóch lekarzy przyjeżdżających na wezwanie.

W ośrodku zdrowia skrytym w cieniu starych lip i kasztanów ordynująca pani doktor powiedziała mi, że ludzie chorują tu w pierwszym rzędzie na choroby reumatyczne, na zapalenia stawów. Cóż, nawet dziwić się nie można. Teren podmokły gliniasty, w mieszkaniach wilgoć, a domy dawno nie remontowane. W Dzielnicowej Radzie Narodowej obliczono mi, że 3 mln. zł rocznie idzie na remonty radogoskich domów. Ale zaraz dodano: „to kropla w morzu, proszę pani, przydałoby się z dziesięć razy tyle. Wilgoć, ot co, podłogi pobutwiały, dachy przeciekają."

Osiedle na Ziołowej zwane też awaryjnym to osobny rozdział. Po ostatniej wojnie między ulicami Jesionową i Trawiastą miasto wybudowało 70 dwu i czterorodzinnych domków. Domki były prowizoryczne, tandetnie wykończone, wodę tłoczono hydroformami, jeden kran umieszczony na zewnątrz miał wystarczyć kilku rodzinom. Wewnątrz domki podzielono na jednoizbowe mieszkania ogrzewane kaflowymi kuchniami. Sprowadzono do tych domków ludzi z łódzkich domów „zagrożonych", ogromną większość z ulicy Kilińskiego. Mieli mieszkać tam tymczasem, dopóki w nowych blokach nie skończy się dla nich mieszkań. Ale nowych bloków nie przybywało w owych latach tak wiele, a gdy już stały, gdy wręczano już klucze do mieszkań, zapominano jakoś o ludziach z Kilińskiego. W awaryjnym osiedlu, na które przeniesiono ich na kilka miesięcy, pozostali na zawsze. To prawda, w ciągu tych kilkunastu powojennych lat część z nich wyniosła się z powrotem „do miasta" — jak tu mówią, ale ogromna większość została.

*Dyskobol rzeźbiarza — amatora*

Osiedle awaryjne, gdy patrzeć na nie z przejeżdżającego Zgierską tramwaju, wygląda bardzo ładnie. Jednakowe, jasne domki ze spadzistymi dachami otoczone ogródkami maleńkimi ale starannie utrzymanymi, szeroka aleja ocieniona drzewami — tak to wygląda z daleka. Ale gdy się podejdzie bliżej, porozmawia z mieszkańcami, posiedzi trochę w administracji, łatwo się przekonać, że 1500 osób tu mieszkających nie ma najłatwiejszego życia. Dachy przeciekają w czasie jesiennych deszczów, w zimie kilka kafelków nie może ogrzać całej izby, a ściany na dodatek nie mają żadnej izolacji. Podłogi butwieją, na całym osiedlu zadomowił się grzyb. Ludzie narzekają: Mówią: mieliśmy tu mieszkać kilka miesięcy, a siedzimy dziesięć lat

A z drugiej strony: proszę, są i takie wypadki: to na osiedlu luksus nieosiągalny, bo przecież z wodą krucho. W lecie, gdy kraj nawiedzi susza, nawet hydrofory nie pomagają. Z kranów leci brudny muł.

Rozmawiałam z radnym tej dzielnicy — Zygmuntem Zdziechowskim. Jest on emerytowanym kolejarzem, starym radogoszczaninem, zna tu wszystkich niemal z imienia i nazwiska, jego też znają. Powiedział mi: „ludzie narzekają na Ziołowym, ale co raz to któryś do mnie przychodzi i pyta czy nie można by jakoś załatwić, że by na własność domek kupić. Taki zły — zagaduję wtedy — a pieniądze w nim chcecie topić? Ee, — odpowiadają — o swoje to inaczej człowiek dba. Tu się poprawi, tam dobuduje, cacuszko z tego można zrobić".

Tak mówią wszyscy. Ale w nieswoje mieszkanie tylko przydzielone, zaledwie kilku nie boi się inwestować. Poprawili dachy, poprzedzielali izby ściankami i przestali narzekać. W ogródkach posieli dzodkiewkę i sałatę, niektórzy zasadzili porzeczki, a w drewnianych komórkach hodują kury i króliki.

Na co trzecim mniej więcej domku sterczy telewizyjna antena. Telewizory kupują ludzie na raty. Łatwo się zresztą o tym przekonać w miejscowym urzędzie pocztowym przy Zgierskiej. Urzędniczka zza okienka chętnie opowiedziała mi o tłoku, który przed dziesiątym każdego miesiąca panuje na poczcie. Dziesiątego bowiem upływa termin płatności wszelkich rat. Więc ludzie płacą: za meble, telewizory, coraz rzadziej za radia.

Gdy już jesteśmy przy osiedlu awaryjnym warto kilka słów powiedzieć o nowej szkole przy Podbiałowej. Szkoła ta mieści się na tyłach osiedla, jest jasna, przestronna, chodzi do niej 1200 radogoskich dzieci. Oddana została do użytku dopiero dwa lata temu, przedtem dzieciaki uczyły się w ciasnej, niewygodnej, starej szkole, którą teraz przerabiają na mieszkania dla nauczycieli. Szkoła jest 7-klasowa, ale kierowniczka opowiadała mi, że prawie żadne dziecko nie poprzestaje na jej ukończeniu 25% absolwentów co roku idzie do szkół ogólnokształcących, reszta do szkół zawodowych. A w szkole 70 proc. dzieci w rubryce pochodzenie społeczne wpisuje: robotnicze, 20 proc. — wywodzi się z inteligencji pracującej, a 10 proc. — to dzieci rolników. Procenty te wiernie odzwierciedlają strukturę mieszkańców Radogoszczy. Właśnie tak tu jest: dużo robotników, trochę inteligencji pracującej, trochę gospodarstw rolnych.

Oprócz osiedla awaryjnego Radogoszcz będzie miała już niedługo nowe osiedle tzw. „indywidualnego budownictwa". Między ulicami Projektowaną, Czereśniową i Liściastą powstaje kilkadziesiąt nowych willi. Budują je przeważnie łódzcy rzemieślnicy, doliczyłam się jednak kilku lekarzy i inżynierów. W ciągu trzech ostatnich lat przydzielono na Radogoszczy blisko 100 działek budowlanych. Łodzianie myślący o swoim domku chętnie widzą go w Radogoszczy. Komunikacja z miastem dobra, powietrze czyste, a bezpośrednie pobliże zgierskiego lasu i ogromny staw przy ul. Niezapominajki to dodatkowa, niemała zachęta.

A z tym stawem to cała historia. Przed wojną staw należał do Niemca — Arnolda. Tak jak Łódź miała wielki niemiecki kapitał i swoich Scheiblerów i Kohnów tak Radogoszcz miała swój mały niemiecki kapitał i niewielkie fabryczki i warsztaty Abbego, Glazera, Weissa.

Otóż nad stawem Arnold prowadził plażę. Z koszami, wypożyczalnią kajaków, z restauracją i muzyką. Plaża miała ogromne powodzenie. W pogodne dni przyjeżdżali ludzie z zadymionego miasta, rozkładali koce na żółtym piasku, wiosłami rozgarniali wodę.

W 45-tym roku staw otrzymał repatriant zza Buga. Najpierw prowadził plażę, ale później, czy energii mu nie stało, czy z przedsiębiorstwem takim nie umiał sobie poradzić, dość że na plażę wdarło się zielsko, budki poniszczyły burze, a przeciekające kajaki butwiały na deszczu. Teraz, co roku, na wiosnę staw spuszczają, ziemia obsycha, a na trawie, wśród żółtych kaczeńców pasą się łaciate krowy. Czasem radogoszczanie przychodzą na ulicę Niezapominajki. Stają na skraju zaoranego pola i wspominają czasy kiedy nad wodę, na plażę, przyjeżdżali łodzianie i wesoło, skocznie było na Radogoszczy w każdą słoneczną niedzielę.

*Przed zakładem pana Stasińskiego*

Teraz nikt nie przyjeżdża. Bo i po co? Kina tu nie ma, żadnej rozrywki, a od kiedy oddział straży pożarnej z Radogoszczy przenieśli to i zwykłe małomiasteczkowe zabawy się nie odbywają. Radogoszczanie piją więc wódkę u „mamy", a potem rozrabiają na ulicy i w ten sposób dzielnica utrzymuje się stale na mało zaszczytnym drugim miejscu największej liczby chuliganów przypadających na 1000 mieszkańców.

Jest wiosna roku 61-go. Wiosna na Radogoszczy to drzewka kwitnące i bez wychylający się zza płotów, na których dziecięce ręce wypisały, że „Jadźka jest głupia" i inne mniej przystojne wyrazy.

U najstarszego Radogoszczanina — Stefana Stasińskiego prowadzącego zakład fryzjerski na rogu Zgierskiej i Jagielońskiej co chwilę dzwoni dzwonek zawieszony nad drzwiami.

„Dzieciakom kołtuny porosły przez zimę" — mówi pan Stefan — to i roboty mam pełne ręce". Siedzi na poręczy fotela, okulary zsuwają mu się z nosa, a na kręcącym się taborecie brzdąc z okrągłymi ze strachu oczami. Bo pan Stefan używa elektrycznej maszynki, a ona warczy i jeździ po szyi... br... Pod lustrem upstrzonym przez muchy pędzle i flakony, szczotki i butelki. Gdy dziecko jest grzeczne i nie płacze przy strzyżeniu stary fryzjer czuprynę obficie spryskuje wodą kolońską, a przed sakramentalnym: „ następny, proszę" pozwala się jeszcze zakręcić na taborecie.

U Stasińskiego strzyże się i czesze cała Radogoszcz. Jest jeszcze wprawdzie drugi fryzjer, „na dołku", obok szewca Solińskiego, ale ruchu u niego nie ma nigdy i konkurent, który myślał, że się na radogoszczanach dorobi, stoi całymi dniami w białym fartuchu oparty o framugę drzwi i dłubie w zębach.

Bo ludzie tu nie mówią: „idź do fryzjera", tylko „idź do Stasińskiego". Szewca też znają z nazwiska i kierowniczkę baru i obecnego właściciela stawu. Jak w małym miasteczku. Wiadomo, że w sklepie sprzedaje Teresa — najstarsza córka emerytowanego tramwajarza, a w budce „Ruchu" siedzi brat Furgałów co z wojny 39-go roku bez ręki wrócił.

Na Radogoszczy jest ulica Szczęśliwa. Skusiła mnie ta nazwa. Zabladziłam więc i tam pod koniec swojej wędrówki. Trzy niewielkie domki w ogródkach i mechaniczna stolarnia. Ulica kończy się ślepo. Dalej jest pole. Na Radogoszczy dużo jest takich ulic kończących się łąką albo łanem żyta. Na Szczęśliwej jest cicho i spokojnie. W podnajętych pokojach mieszkają studenci Łódzkiego Uniwersytetu. Na środku jezdni dziewczynki grają w klasy. Wyrysowały ogromnego człowieka z rozczapierzonymi dłońmi, na głowie napisały NIEBO.

Małe dziewczynki na radogoskiej ulicy Szczęśliwej grają w klasy. Rzucają płaskim kamyczkiem, skaczą na jednej nodze i pewnie im się zdaje, że niebo jest bardzo, bardzo blisko.

**BARBARA SEIDLER**

Zdjęcia: **W. BILIŃSKI**

---

## DOCHODZENIE MILCZENIA RYB

**Jest budowanie daremne zamków z piasku na dnie,**
**Sny nocami błyszczące — zielenią i bielą.**
**Są gładkie ściany brzegów, głuche wody bramy,**
**Jest pejzaż przezroczysty jak echo milczenia.**

**Dzień po dniu w kropli wody — odpływa, odpływa.**
**Jakich potrzeba zaklęć, jakich słów magicznych,**
**Aby mi — o czym myśli — powiedziała ryba,**
**Abym mógł wiedzieć t a m t o, o czym ona m i l c z y.**

MIECZYSŁAW STAŃCLIK

## FUGA JESIENNA

**Oto nadchodzi czas deszczu i szlochu sękatych gromnic**
**Zanim opadnie w sadach ostatnia jabłek czerwień**
**Przyjdę do ciebie w kwiatach, byś mogła mnie w kwiatach zapomnieć**
**Gdy zima twe oczy nakryje pierwszego chłodu srebrem.**
**Bo już drzewa zziębnięte po najbielszą nagość**
**Pszczoły jeszcze rysują w powietrzu ślad słońca**
**Podasz mi promień ręki nad jesienią sadów**
**Gdy sny zimą pączkują i gdy śnieg we włosach.**
**Oto nadchodzi czas deszczu i szlochu sękatych gromnic**
**Nim ślady po naszym zdziwieniu wypełnią się chłodu srebrem**
**Odejdę od ciebie w kwiatach, byś w kwiatach mnie mogła zapomnieć**
**Gdy liście ze mnie opadną i imię wystygłe jak jesień.**

## RÓŻA

**Jesteś cała czerwienią swych bufiastych sukien**
**Aż do bólu otwierasz swej urody wnętrze**
**W moich słowach zakwitasz gdy o tobie mówię**
**A kwitnącą chcę ciebie powiedzieć najpiękniej.**
**Tak wywyższam cię w słowach aż do zamilknięcia**
**A jeszcze trwa w powietrzu twe c z e r w o n e imię**
**Schodami pięciu zmysłów do twojego wnętrza**
**Jak na dno morza schodzę — na dno twoich kwitnień.**

*Rijeka*

MARIAN PIECHAL

*Z podróży po Jugosławii*

# WITAJ, ADRIATYKU!

Wyjeżdżamy z Zagrzebia autobusem przy piekielnym wprost upale, choć już jest późne popołudnie. Nie pomagają lizane lody na patyku. Dopiero po godzinie jazdy wśród zielonych równin często-gęsto przecinanych wąskimi strumykami powiał od zachodu słaby wietrzyk. Od zachodu to znaczy od błękitnego na horyzoncie pasma gór, zwanych Uskokami „Uskoki" to właśnie znana powieść Teodora Tomasza Jeża o czasach panowania w Bośni Turków, których najbardziej zachodni zabór sięgał aż po Karlowac, do którego oto się zbliżamy. Przed nim minęliśmy miejscowość Seraj, a w niej dwie pięknie zachowane białe „dżamije" (meczety z minaretami), ostatnie chyba z wysuniętych na zachód. Poza tymi jednymi wyjątkami nic po drodze nie przypominało Wschodu. Przeciwnie — Chorwacja, to prawdziwy Zachód, nigdy przecież nie podlegała okupacji tureckiej. Za to długotrwała okupacja austriacka i węgierska zostawiła tu swoje liczne ślady. Krajobraz jak dotąd przypomina Austrię i Węgry. Zwłaszcza uderza to w Karlowacu, pierwszym większym mieście, gdzieśmy się na chwilę zatrzymali.

No, za tym pięknym i już obudowanym nowymi dzielnicami mieszkalnych wieżowców (te wieżowce to jakaś powszechna mania budownictwa jugosłowiańskiego!) zaczęliśmy się szerokimi zakosami zwolna piąć coraz wyżej. To pierwsze pogórza Alp Dynarskich, które w tej części noszą nazwę: Gorski Kotar. Zaczęło wiać chłodem i coś jakby nawiewać mgłą. Minęliśmy rzekę Dobrą, za którą na dobre zaczęło się chmurzyć. A tu im wyżej, tym gęstsze serpentyny i coraz więcej nagich skał a mniej turkusowych świerków i błękitnozielonych buków. Mniej więcej na szczytowej przełęczy lunęła ulewa. Trwała ze dwie godziny aż do zjazdu w dolinę małej rzeczki, u której ujścia leży największy obok Splitu port jugosłowiański Rijeka. Tak, że z oglądu najciekawszych partii Gór Dynarskich nic nie wyszło, prócz krótkiego postoju w miejscowości Delnice, bardzo przypominającej naszą Wisłę czy może Kowary.

Ale potem deszcz ustał, kiedy zaczęliśmy niepokojąco stromymi zakosami zjeżdżać w dół wśród jaskrawo żółtych skał. Lasów już prawie nie ma, ale zieleni jeszcze skąpo. Niedaleko już Rijeka, a tu jeszcze nic z łagodności południa, przeciwnie — surowe skały, skąpa trawa, jakieś zarośla, mchy. Aż wreszcie za ostatnim zakrętem, tuż z za skalnego bloku wyłania się nagle fantastyczna kraina cudu: seledynowo-błękitne, zmatowiałe lekką przedwieczorną mgiełką, szerokie rozlewiska wodne, niby nie biosa rozpostarte w dole — chorwacki Jadran czyli po naszemu Adriatyk!

Jeszcze kilometr, jeszcze dwa — i już palmy i cyprysy i pinie, i oliwki, i całe ściany róż pnących, i inne egzotyczne drzewa, krzewy, rośliny. Jakże nagła zmiana, jakby nożem uciął! Za nami surowa, nawet ponura, bo naga ściana wysokich gór, a przed nami łagodna, obła, opalona plaż zapruszonej lekką gazą mgieł zatoki. I ciepło, ciepło, choć drobny deszczyk z ostatniej chmurki kropi. Ostatniej, bo cały zachód nieba jest czysty i poświata słońca rumieni nieco ciemniejsze tło zatoki.

Sam wjazd do Rijeki to dosłownie jazda nad przepaścią. Ta niewinna w dole rzeczki w tym groźnym skalnym kanionie to dawna granica jugosłowiańsko-włoska. Po tamtej — prawej — stronie byli Włosi (widać twierdzę na szczytowym cyplu skały), ale miasto Rijeka po obu stronach rzeki ma ten sam charakter: bizantyjsko-wenecki. Przypomina mi się Wenecja sprzed ćwierć wieku. Cóż — mniej palm i cyprysów, niż w Rijece. Ale ruch uliczny tam jakiś bardziej wrzaskliwy. Tu jednak przeważają melancholijni Słowianie — mimo, że Rijeka leży bardziej na południu, niż Wenecja, a Chorwaci są bardzo żywi i ruchliwi.

Niecierpliwy kolega Lalić nie daje czasu na zbyt długą kontemplację: pakuje nas w podmiejski autobus i uwozi z Rijeki do nadadriatyckiej stolicy wszelakich komfortów morskich — Opatii (dawniej włoskiej Abazzy). Droga tuż nad brzegiem morza. Wspaniałe wille w ogrodach, pełnych cyprysów, palm, tulipanowców, kaktusów, róż na ścianach.

W hotelu pokoje z widokiem na morze z jednej strony, a drgająca światłami górą z drugiej. Nad nami rzęsiste od gwiazd niebo. Zjedliśmy kolację — oczywiście z jakiejś specjalności miejscowej ryby z zatoki rijeckiej pod istrijskie wino. Bo Opatija, to już wybrzeże półwyspu Istrii. U nasady jego po drugiej stronie leży Triest (po chorwacku Trst). Potem do późna w noc łazega po wybrzeżu i po uliczkach Opatii z przeświatywaniem świateł z odległej nad morzem Rijeki.

Sen przy otwartym oknie balkonu przy dźwięku muzyce świerszczów. Nazajutrz nieprawdopodobnie pogodny poranek. Jaskrawość południowego słońca łagodzona lekką mgiełką. Przyjaciel Lalića zawozi nas swoim samochodem dalej na południe półwyspu. Kąpiemy się w Medwijach za Lowranem. Plaża i dno morskie nie mają piasku, lecz same śliskie okrąglaki. Trzeba uważać żeby się nie wywrócić i nie połamać nóg. Ale woda przejrzysta jak kryształ i ciepła chyba jak temperatura samego ciała. Zielonawo-błękitna, prześwietlona złocistem odblaskami słońca. Ale niezwykle gorzka. Nasz Bałtyk w porównaniu z Adriatykiem to słodzona (i mrożona) herbata.

Dopiero w świetle dziennym widać całą urodę nadmorskich gór istrijskich. Na zamglonym horyzoncie w głębi morza dwa kontury wysp: ta z lewej to Krk, a ta z prawej wyższa, lecz wąziutka, to Cres. A całkiem na lewo, to błyszcząca biało jak rozrzucone kostki cukru Rijeka.

Zjadamy tutaj obiad w tych Miedwijach (czyli dosłownie: Międzygałęziach) i wyruszamy tym przyjacielskim autem na zwiedzanie wybrzeża, a potem samej Rijeki. Cóż — wybrzeże nie do opisania. Co krok miejscowości kąpieliskowe, ale żadnego porównania z włoskim Lido. Tam jednostajna płaszczyzna i nuda. Tu góry, jary, strumienie i wysoki, porwany brzeg morski. Rijeka tak samo — żadnego podobieństwa z Wenecją. Można by ją nazwać — tę Rijekę — miastem górsko-morskim. Bo jest zbudowana tarasowato na obu zboczach skalnych nad rzeką i niby wachlarz zbiega przy jej ujściu na płaski brzeg morski. Port wchodzi prawie w sam środek miasta. Tuż za nim ciągnie się w obrębie resztek zburzonych murów stare miasto z wąskimi uliczkami o włoskich nazwach i zamieszkałych przeważnie przez włoską biedotę. Dużo tu zburzonych bądź rozsypujących się starych i zmurszałych ruder, po których pną się jednak gęsto kwitnące róże, a wśród nich gnieżdżą się chmary różnego ptactwa i gołębi. Nowe dzielnice miasta, czyste i przestronne, ale jakieś nijakie. Jest tu oczywiście 14-piętrowy wieżowiec — ale trudno go nazwać drapaczem chmur, skoro z jego szczytu widać jeszcze wyższe szczyty, na których rozsiadły się półkolem krańcowe dzielnice miasta. Jedziemy krętą serpentyną na ten najwyższy szczyt Rijeki, który nazywa się Trsat z średniowiecznym klasztorem i zamkiem obronnym. Widok na zatokę i na wąskie uliczki przyzamkowe niezrównany — cóż można więcej powiedzieć, prócz banału?

Nocą Rijeka lśni jak wypełzła z morza elektryczna drętwa. Dawne włoskie Fiume daje czasem znać o sobie przypadkowo zasłyszanym słowem włoskim. Ale wszędzie rozbrzmiewa język chorwacki, przypominający bieg strumienia po skałach. Po upalnym dniu wietrzyk od morza chłodzi znużone myśli, rozczesuje niejako i ładzi splątane wrażenia z całego dnia. Wracamy do swojego hotelu w Opatii. Po drodze mocno pachną drzewa laurowe, cyprysy i eukaliptusy. Świetliki błyskają w drzewach. Grają cykady. Rzeczywistość nie wiadomo kiedy przemienia się w sen.

Rano numerowy nie mógł się nas dobudzić.

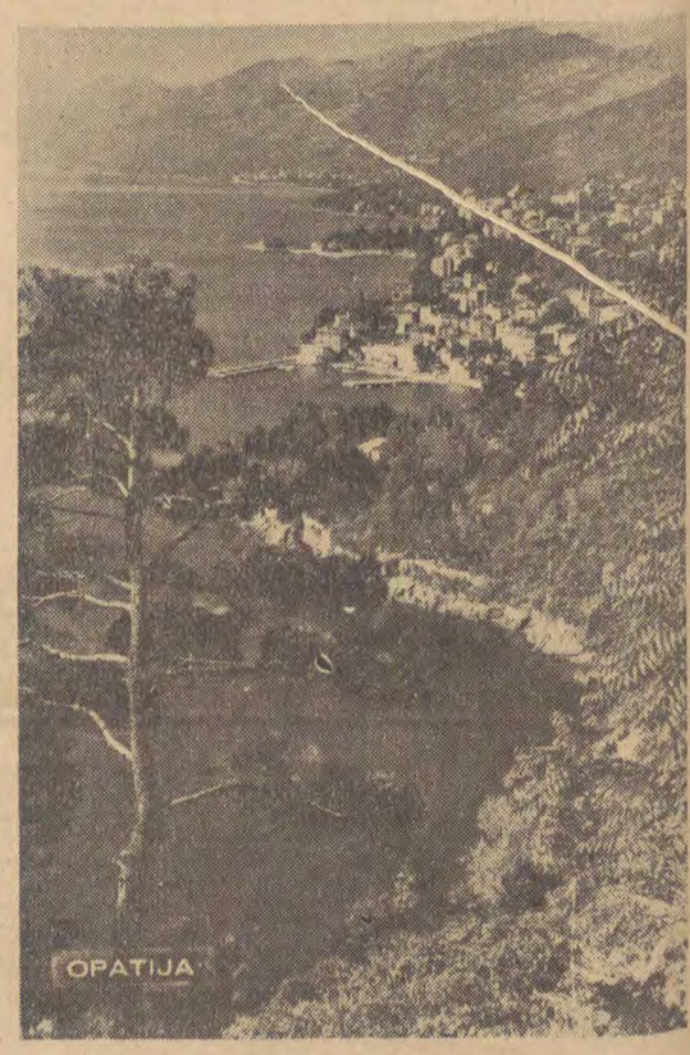


EWA OSTROWSKA

# W Łęczycy dbają o nudę

Są dwa wyjścia do miasta: pierwsze, legalne przez budynek kolejowy, typowy dla pejzażu prowincjonalnych stacyjek — na zewnątrz pelargonie w zielonych skrzynkach, wewnątrz — brudna, ciemna poczekalnia z kasą biletową i otwartymi drzwiami w bufet, skąd cuchnie stęchlizną, kurzem, niedopałkami papierosowymi i skwaśniałym piwem. Kto często wysiada na takich stacyjkach, temu nie obcy jest konglomerat podobnych zapachów.

Drugie wyjście prowadzi obok kiosku Ruchu. W zestawieniu z dworcowymi pelargoniami, kiosk zaskakuje jako element nowoczesności i postępu.

A takich zmian ma prawo doszukiwać się reporter w Łęczycy, ba, nawet obowiązek. Bo nazwa „Łęczyca" kojarzy się z określeniami — „młody ośrodek górniczy. Zagłębie rudy żelaznej", zaś wyobraźnia podsuwa obraz dymiących kominów. Więc widzę już tytuł reportażu: DIABEŁ BORUTA POSZUKUJE PRACY — czyli legenda upaństwowiona.

Wychodzę przejściem obok kiosku.

Dymiących kominów nie dostrzegam. Natomiast w sporej odległości na lekkim wzniesieniu panorama z czerwonej cegły. Nowe bloki. Łęczyca jest tam. Po kocich łbach postukuje drabiniasty wóz.

— „Do miasta? Albo drogą po lewo albo krócej, po prawo" — odkrzykuje woźnica.

Do Łęczycy prowadzą dwie drogi: jedna „po lewo" — ulicą Belwederską. Idzie się nią długo zanim pojawią się domy. Człowiek przechodzi potykając się na wypaczonych płytach chodnika, ma przed sobą monotonny widok: płaszczyznę niezoranego chodnika, i pojedyncze zabudowania na wpół schowane za płotami i drzewami. Druga droga — „po lewo", krótsza i na przełaj przez zaśmiecone pole. Łatwo spostrzec, że nie ulica Belwederska, a ta początkowo bezimienna ścieżka, która później wchodzi pomiędzy kilka świeżo wybudowanych domków jedno czy dwurodzinnych, uzyskując tytuł ulicy Łąkowej — stanowi uczęszczany szlak turystyczny.

Łęczyca chowa się za nowymi blokami. Odnalezienie jej nie nasuwa trudności: wszystkie ulice spotykają się na rynku — placu Tadeusza Kościuszki.

Na placu od starych zabudowań odcina się wyraźnie szeroki, jasny masyw gmachu — siedziby władz partyjnych. Obok — restauracja, pospolicie znana gospodą ludową. Dalej kiosk. Sklepy z małymi oknami. Komenda MO. Znowu sklepy. Kilka „Samów" — emancypacja trafia do handlu. Bruk — taki jak w całej Łęczycy — kocie łby. Kawiarnia. Przed kawiarnią — postój taksówek. Taksówki — owszem — są. Owszem — kursują. Nieopodal placu Prezydium Rady Narodowej. Równie blisko Dom Kultury. Poczta i Sąd za kolejką wąskotorową. Ale to już jest daleko. (Kurs taksówką — dziesięć złotych) — „Pani do Sądu? Kawał drogi..."

* * *

Drugi sekretarz KP PZPR:

— Mówicie, towarzyszko, że interesuje was młodzież. Działają u nas trzy organizacje młodzieżowe: ZMS, ZMW, OH.

Komendant MO:

— Co robi młodzież? Nic nie robi.

Przewodniczący ZMS:

— Mamy poważne osiągnięcia. 90 proc. młodzieży pracującej zrzesza się w naszej organizacji. Aktualny stan członków — 1.004. (Łęczyca — przeszło 12 tys. mieszkańców, około 4 tys. młodzieży). A w maju należało tylko 489. Młodzież górnicza, zorganizowana w brygady. Wysoka wydajność w produkcji. Pierwsze miejsce w województwie w zbiórce na Fundusz Szkół: 53 tys. złotych. „Zielona niedziela" wspólnie z ZMW — 18 tys. sadzonek.

Przewodniczący:

— Nagły wzrost członków? Podjęliśmy uchwałę na plenum o rozszerzeniu wpływów wychowawczych na całą młodzież. Zaagitowaliśmy. Wzrosły nasze szeregi. W samych łęczyckich Zakładach Górniczych — 12 brygad młodzieżowych, z czego trzy walczą o tytuł przodującej w pracy

Dalszy ciąg na str. 12

RYSZARD DOROBA

BA gatelki

# A CO NA WCZASACH?

Mimo jednak niepogody Zakopane nie mogło w deszczowy sierpień narzekać na brak amatorów. Nawet premier Cyrankiewicz zjechał w góry i ciekawscy idąc do Doliny Białego mogli oglądać czarnego ZIM-a stojącego przed willą „Pan Tadeusz". Po Krupówkach (taka zakopiańska Piotrkowska) spacerował często (tym razem nie budzący zainteresowania rodaków) Melchior Wańkowicz.

Nic nowego. Pada. W każdym bądź razie padało do niedawna. W Zakopanem na przykład, gdzie niżej podpisany był ostatnio, lało cały czas z nielicznymi przerwami na obiad. Nawet całkiem łatwy, dziecinny niemal szlak na Kalatówki groził niebezpieczeństwem połamania nóg. Tak było ślisko.

Za to w halach targowych znaleźć można było zgoła inne atrakcje. Spotkać tam rodaka trudniej było chyba niż w Paryżu czy Moskwie. Całe watahy Czechów i Niemców sprzedawały co się da od piór „Stella" po buty. Niżej podpisany przez piętnaście minut prowadził wielce obiecujący niemy flirt z pewną śliczną dziewczyną. Niestety, okazało się, iż piękność miała do ofiarowania wyłącznie czeskie sandałki po 200 zł.

O Zakopanem ostatnio pisać można jedynie ze ściśniętym sercem. Miejscowe władze zepsuły nam absolutnie tę uroczą wieś z ambicjami miasta. Zaczęto mianowicie na dużą skalę akcję... stawiania bloków. Płakać się chce widząc między góralskimi domkami mieszkaniowe kolosy rodem z warszawskiego Żoliborza.

J.

## NASZA KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów

**Poziomo:** 5) Poeta polski, 7) Chmura, 8) Wyrażenie, zwrot właściwy tylko danemu językowi, 9) Cukierek, 10) Jon o ładunku ujemnym, osadzający się w procesie elektrolizy na dodatnim biegunie naczynia elektrolitycznego, 11) Chronometr, 16) Przyrząd do podnoszenia ciężarów, 17) Drobna moneta, 19) Boks, lekkoatletyka itp., 23) Lody z kremem i owocami, 24) Krzepkość, rześkość, moc, siła, 25) Narzecze ludowe, 26) Państwo europejskie, 27) Pewność, śmiałość.

**Pionowo:** 1) Rozsuwana zasłona na okno, 2) Plakat, 3) Skorupiak, 4) Poczucie godności własnej, uczciwość, 6) Miejsce dla boksujących się, ogrodzone sznurami, 12) Pierwiastek chemiczny o liczbie atomowej 63; należy do grupy ziem rzadkich, 13) Wróżący z lotu ptaków, szarlatan, 14) Medykament, 15) Metal twardy i kruchy, 18) Rodzaj półki na książki, 19) Duży garnek, 20) Fusy, 21) Oblicze, 22) Ruczaj, strumień.

**Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.**

**Rozwiązanie krzyżówki z nr 26.**

**Poziomo:** kapitan, Mali, owoc, lepik, patos, Natan, stola, sagan, arena, Nogat, staw, tornado, Ares, krup, Astarte, kota, Araks, szosa, skala, etaty, skaza, kabza, arara, tryb, rata, ckaryna.

**Pionowo:** okap epika, stopa, knot, Alina, awans, metan, corso, mora, ogar, tatarak, lew, aga, atestat, atlas, grota, watra, notes, Ural, pal, kot, osad, karat, zebra, kszyk, (pta') baran, kabat, zarys, brom, atar.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Barbara Patalong, Łódź,** ul. Zacisze 4 m. 6
2. **Franciszek Łukaszewicz,** Pabianice, ul. Warszawska 121 m. 2

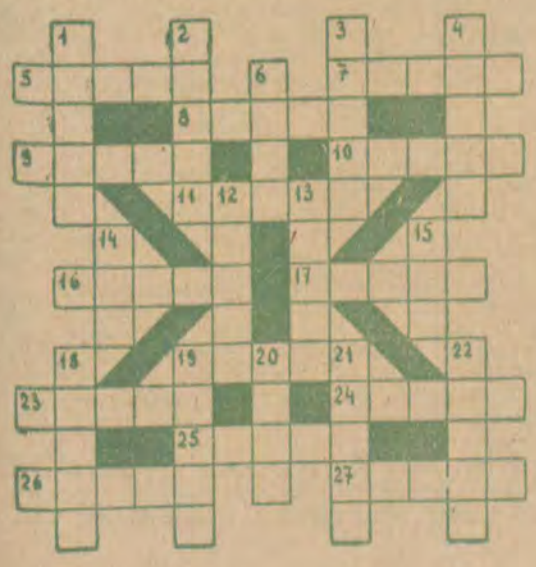

## informacje zaczepki

Cudowne dziecko łódzkiej grafiki — Kazio Mozolewski cierpi na wyraźny brak inwencji — sprzedaje bowiem jeden i ten sam dowcip rysunkowy kilka razy z rzędu; vide „Szpilki" i prasa łódzka. ⊙ Łódzki Studencki Teatr Satyry „Pstrąg" nareszcie otrzyma własną salę, obecnie kończy się prace adaptacyjne (lokal Państwowego Zakładu Ubezpieczeń) i miejmy nadzieję, że w październiku zobaczymy nieznane jeszcze w łodzi programy tego interesującego teatru. ⊙ Balet Politechniki Łódzkiej w liczbie 20 osób wyjechał ostatnio do Francji na doroczny festiwal artystyczny Narodowego Związku Studentów. ⊙ Radzimy przeczytać ciekawą książkę Tadeusza Chróścielewskiego pt. „Rodzina jednorożców" wydaną ostatnio przez Wydawnictwo Łódzkie ⊙ Narzekaliśmy w swoim czasie na pomysł samoobsługi w łódzkich autobusach: dziś po paru tygodniach eksperymentu stwierdzamy obiektywnie, że innowacja się przyjęła i pasażerowie przestali wymyślać na pomysłodawcę. ⊙ Jedynym teatrem, który nie odpoczywał tego lata jest Teatr Ziemi Łódzkiej grający w miastach i osadach naszego województwa m. in. „Szkołę żon" Moliera i „Burzę" Ostrowskiego. ⊙ Podziwiamy organizację w klubie kawiarni ZMS „Staromiejska" gdzie przybyli na zapowiedziane spotkanie prelegenci ujrzeli zdziwione spojrzenia personelu zdumionego faktem, iż ma się tu odbyć jakaś impreza ⊙ Państwowy Instytut Wydawniczy w odpowiedzi na naszą notkę o wyczerpaniu nakładu „Bylin" w tłumaczeniu Tadeusza Mongirda wyjaśnia, iż książkę tę można otrzymać w łódzkiej księgarni przy ulicy Piotrkowskiej 47, czyli w popularnym PEGAZIE. ⊙ Ostatnio Wydawnictwo Łódzkie wydało drugi tom kapitalnej „Księgi Humoru Polskiego" w opracowaniu Juliusza Saloniego; warto przeczytać ⊙ Przy ulicy Tamki 12 w Łodzi powstanie piękna, nowa szkoła chemiczna projektowana przez architekta Witolda Millo

## Poczta literacka

**TRUDNY PACJENT.** — Sprawy będące tematem Pańskiego szkicu były wielokrotnie eksploatowane w literaturze. Naprawdę bardzo trudno po utworach choćby Londona, Fallady czy Hłaski napisać coś nowego na temat alkoholizmu.

Pański szkic, niestety, nie wnosi nic nowego do kręgu tych zagadnień. Powstał on zapewne pod wpływem książki Roberta Tabusa, ale brak mu drapieżności i umiejętności widzenia i obserwacji, a te cechy są chyba bardzo ważne. Może byłoby lepiej, gdyby spróbował Pan formy pamiętnika.

**PANI JADWIGA C.** — Bardzo Panią przepraszamy za małe, redakcyjne faux pas. Pani reportaż „Są takie domy" jakkolwiek jeszcze nie do druku, reprezentuje sobą niemały zasób zarówno umiejętności pisarskich, jak i zdolności widzenia i obserwacji. Tak się jakoś nie najlepiej złożyło, że w odpowiedzi na Pani korespondencje znalazły się nie bardzo słuszne i nie bardzo odpowiedzialne zwroty. Za co Panią jeszcze raz przepraszamy.

Poza tym mamy jedną prośbę. Niech Pan osobiście skontaktuje się z naszą redakcją.

## Najostrzejsze ołówki świata

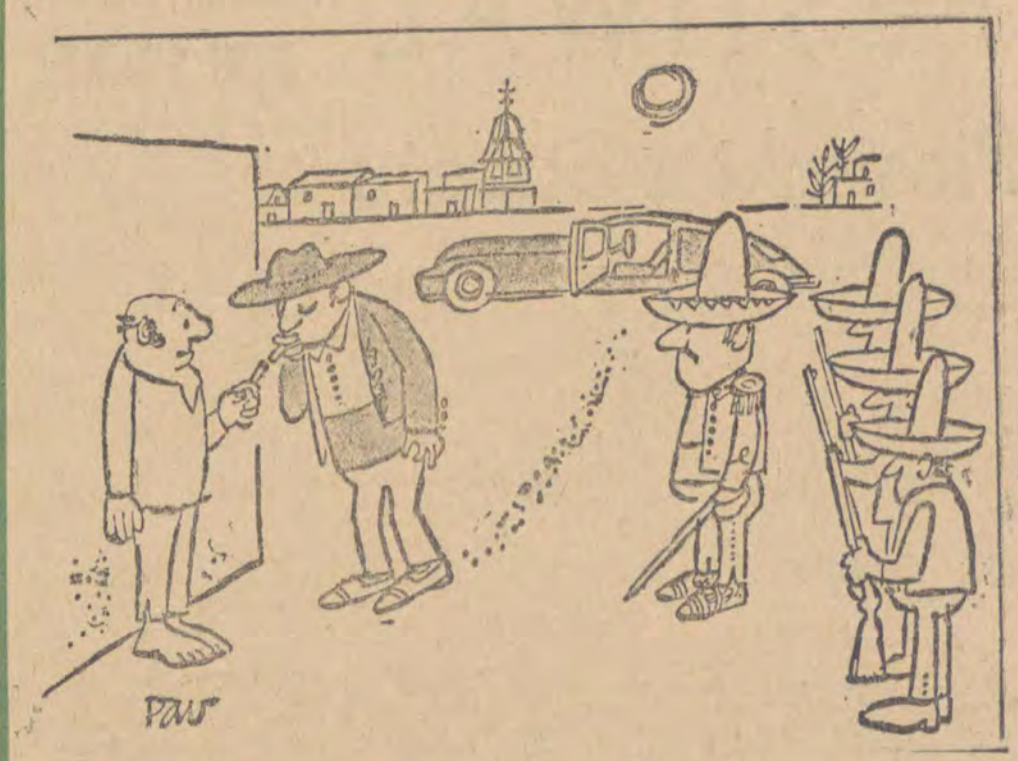


# PAV

**Nie znamy niestety szczegółów biograficznych ani imienia i nazwiska humorysty angielskiego, podpisującego się kryptonimem „PAV". Mimo to warto go choćby niepełnie przedstawić, Pav swymi arcypomysłowymi rysuneczkami dorównuje najbardziej uznanym sławom brytyjskim.**

**Prawdopodobnie jest to człowiek młody, jego podpis pojawił się dopiero na przełomie lat 1959/60. Świadczyć też o jego wieku może typ dowcipu, który Pav uprawia — makabreska. Jest rzeczą charakterystyczną, że humor makabryczny, tak dawno spopularyzowany w USA — na kontynencie europejskim przyjął się dopiero w ostatnim 10-leciu, przede wszystkim we Włoszech i Francji, gdzie uparcie popiera ten gatunek właśnie młodzież plastyczna. Najoporniejsi okazali się brytyjczycy...**

**Pav stara się konsekwentnie przełamać te opory wyspiarzy, czyni to głównie na łamach świetnego „Puncha", którego redakcja w ostatnich latach wykazuje więcej liberalizmu dla różnorodnych form humoru.**

**Od amerykańskich mistrzów „grozy komicznej", Virgila, Prtcha i Charlesa Addamsa przejął Pav umiłowanie przerażających sytuacji. Tym się jednak różni od tamtych, że nie usiłuje budować nastroju, a całą pointę opiera na szoku, zaskoczeniu; jest bardziej wyzywający, agresywny — nawet obrazoburczy.**

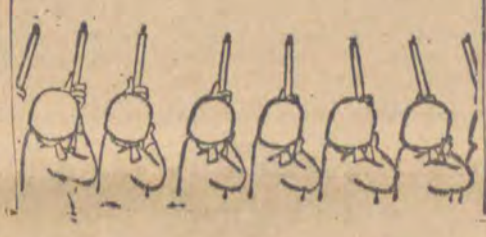

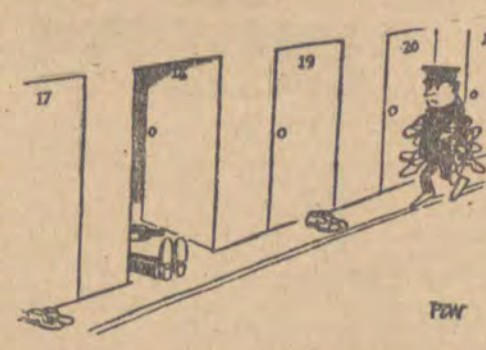


(jert)

# GDY PICASSO był jeszcze nędzarzem

RZECZY CIEKAWE

Pablo Picasso, dziś już światowej sławy twórca i leader malarstwa surrealistycznego, którego swego czasu oficjalna krytyka nazywała faryzeuszem i błaznem, jeszcze na początku tego stulecia przeszedł granicę hiszpańsko-francuską, żeby spróbować szczęścia w Paryżu. Umiał wówczas po francusku tylko tyle, ile potrzebuje cudzoziemiec żeby odpowiadać na pytania policji granicznej.

Kiedy obdarty i bez grosza w kieszeni stanął przed francuskim wachmistrzem policji, zainteresowano się przede wszystkim jego zawodem. Picasso był tak zdenerwowany, że nie tylko nie potrafił odpowiedzieć po francusku, ale nawet rękami i nogami — jak to bywa w podobnych przypadkach — nie potrafił określić swojego zawodu i w końcu pokazał swój obraz. Obraz ten — ciekawa praca młodego Picassa — przedstawiał głowę robotnika, namalowany znanym stylem picassowskim, tj. niesymetrycznie, z oczami wiszącymi gdzieś obok głowy. Wachmistrz z niezadowoleniem popatrzył na to „błazeństwo", a gdy jeszcze usłyszał, że młodzik chce zarabiać na codzienny chleb w Paryżu malowaniem takich obrazów, powiedział mu:

— Przecież z takimi obrazami wypędzą cię z Paryża!

Po 20 latach Picasso zwierzał się:

— Ten stary policjant miał rację. Na Montmartrze, gdzie tyle lat wegetowałem, nie znalazł się ani jeden handlarz obrazami, który dałby mi chociaż pół franka za moje dzieła. Dosłownie byłbym musiał umrzeć z głodu, gdyby nie Keiner, którego spotkałem w pewnej karczmie, a który mi — nie wiem czy z litości, czy ze zrozumienia — pomógł za moje obrazy. Nie dał mi wprawdzie pieniędzy, bo sam ich biedak, też nie miał, ale chociaż przynosił mi od czasu do czasu talerz jedzenia, choć nie pierwszej jakości, tak, że w ciągu długich miesięcy mogłem przynajmniej raz dziennie jako tako się najeść.

Keiner ten po jakimś czasie otrzymał za uzyskane w ten sposób obrazy Picassa znaczną sumę pieniędzy, tak, że usamodzielnił się i otworzył sobie własny interes.

Picasso na dowód tego, że prawdziwy artysta zawsze wie, czego chce i nie da się opanować obcym wpływom, nigdy nie porzucił swojego „niemożliwego, szkaradnego, wprost wariackiego sposobu malowania". Jeszcze w 1902 roku dwa swoje obrazy musiał sprzedać za 1 franka, nie chcąc mieszkać na ulicy. Te właśnie dwa obrazy zmieniły w 1948 roku w Nizzie swoich właścicieli, a nowi nabywcy zapłacili za jeden z nich

Dokończenie na str. 11

# FESTIWAL

## Piosenki z Sopotu

I już po wszystkim! Już możemy spokojnie słuchać radia, oglądać telewizję. Niemal przez pół roku zbierały się nad głowami naszymi groźne chmury w postaci organizowanego par force festiwalu piosenek, plebiscytu ogólnonarodowego na polską piosenkę, konkursów różnych gazet itd. Słuchaliśmy chcąc nie chcąc ciągle tych samych „pieśni" najpierw pod hasłem: z czym jedziemy na festiwal, potem naród wybierał najlepszą piosenkę i wybrał oczywiście nie najlepiej, bo „cza—czę" „Dla ciebie miły", która jak się zdaje nie była najlepszą piosenką z przedstawionych do konkursu*, potem naród podniecony zasiadł do telewizorów i odbiorników. Zaraz pierwszego dnia sopocki prysznic był lodowato zimny. Koncert — jeszcze jeden! utworów, które każde polskie dziecko zna na pamięć. Ci co zapłacili za bilety tam w Sopocie, siedzieli wściekli i senni — widać to było na ekranach. Dnia drugiego popisywali się soliści zagraniczni. I znów ani jednego wielkiego nazwiska, choć Kydryński wykrzykiwał je tonem nawołującym do owacji, ani jednego interesującego głosu, ani jednej piosenki, która naprawdę podbiła by serca publiczności. Och, pardon! Nie powołujmy się na publiczność. Zaprezentowała ona gusty głębokiej prowincji. Szalała przy jodłowaniu Austryjaka, wyła przy „swingowaniu" Niemca z NRF, natomiast nie przypadła jej, podobnie jak jury do gustu śliczna piosenka pani Cassanovas śpiewana przy gitarze. Jury nie miało zresztą lekkiego zadania. Organizatorzy festiwalu w trosce o pewną liczbę nazwisk zagranicznych (wątpliwe czy są to rzeczywiście najlepsi piosenkarze swoich krajów) ściągali do Sopotu i śpiewaków z operetek, i piosenkarzy ludowych, jazzowych, ba! bez mała operowych... Za szerokie — zaiste — pole do działania do jurorów!

Jak to wyglądało w telewizji? Dzień pierwszy: nasz miły Mieczysław Voit zagrał najgorszą rolę swego życia: rolę niepotrzebnego konferansjera. W dniach następnych dublowała go znakomicie Zofia Słaboszewska, której dykcja nie dorównuje pięknością pani Zofii. Tylko Irena Dziedzic w pierwszym dniu ratowała tonący, okręt z ogranymi szlagierami, zresztą bez powodzenia. A potem jeszcze stremowany Kydryński rzucał rozpaczliwie pod nogi publiczki swój autorytet znawcy i koneser piosenki. A takie mieliśmy zaufanie do smaku tego człowieka... Bo przecież to co nam pokazano, to na pewno nie były szczyty, zaś na pewno był tzw. drugi, a może i trzeci sort...

Proszono mnie o ostrą interwencję w sprawie przerwania telewizyjnej transmisji w niedzielę i to w punkcie najciekawszym, bo przy piosence z filmu „Dzieci Pireusu". Nie będę interweniował. Może właśnie telewizja była w Polsce pierwszą instytucją, która zorientowała się w czym chała?!

*) Bardzo się cieszymy, że mimo wszystko piosenki Wasowskiego: „Embarras" i „Jeszcze poczekajmy" zwycięsko wyszły z konkursu i plebiscytu. Na nasz gust ta druga piosenka jest ewenementem roku.

## KRONIKA FILMOWA ZIEMI ŁÓDZKIEJ

Obejrzeliśmy jeden numer Kroniki Filmowej Ziemi Łódzkiej. Przede wszystkim pochwalamy pomysł wydawania takiego periodyku. Ziemia Łódzka czeka na odkrycie przez dobrych reporterów telewizji. Dowcip polega teraz na tym, by zaczęli oni szperać po terenie. Wyszukali aptekarza, który ma bogate i ciekawe zbiory. Brawo! Tylko że wcześniej zrobił to już reporter „Głosu Robotniczego" przy czym jego pisana relacja była niestety o niebo ciekawsza od sekwencji w kronice bądź co bądź filmowej! Spodziewaliśmy się obejrzeć więcej eksponatów z tych niezwykłych zbiorów, oczekiwaliśmy też na lepszy, sumienniejszy komentarz, który oszczędziłby nam powodów do śmiechu. Bo np. kiedy lektor mówi: oto brzytwa księcia Józefa Poniatowskiego na ekranie widzieliśmy sporej wielkości kindżał.

Druga uwaga dotyczy sposobu dobierania materiałów do kroniki. Jak dotąd ich większość stanowią relacje o sprawach rolnych. Cóż tu można pokazać? Chyba tak jak w omawianym magazynie na przemian piętnaście razy stogi zboża, pola i młocarnie. A na ziemi łódzkiej mamy większe miasta w nich ciekawe fabryki, zakłady doświadczalne, szkoły, ze społy artystyczne, mamy też piękne lasy z hodowlą żubrów i bażantów, mamy myśliwych, którzy polują... Tematów jest więc sporo i o najatrakcyjniejsze powinien się starać zespół Kroniki Ziemi Łódzkiej.

Jeszcze słowo o komentarzu. Jest niestety przegadany i mało dowcipny. Radzimy wziąć przykład z PKF.

(x)

***CZY PANI JEST WOLNA W NOCY Z 15 na 16...?***

# TELEWIZJA O MŁODZIEŻY

**Obserwujemy od dawna poczynania naszej telewizji na odcinku dyskusji o młodzieży. Po ostatniej audycji nadanej z Poznania możemy nawet podać pewne ogólne recepty robienia tej problemowej mikstury, którą jako lekarstwo podaje się chorym w nadziei rychłego ich uzdrowienia. Założenie audycji jest mniej więcej takie: młodzież jest cyniczna, zmęczona, zniechęcona do życia, do długofalowego działania z myślą o przyszłości, myśli tylko o wyżyciu seksualnym, pije, gra w karty, słucha jazzu, zazdrości tym co się poszczęściło — (np. wyjechali za granicę). młodzież jest tępa, wreszcie ponura, słowem będziemy mieli do czynienia z typowymi nihilistami dla których filozoficzną wykładnią jest Saganka. Zatem najpierw pokazemy fragmencik z jej książki pt. „Pewien uśmiech". Na ekranie On — starszy siwawy facet i Ona, młode, 16 letnie dziewcze. U niego w garsonierze na tapczanie. Są znużeni tym co było przed chwilą.**

**On: Jesteś jak małe zwierzątko. Zawsze chcesz spać albo pić.**

**Ona: (w myśli). Zapytał mnie czy jestem wolna w nocy z 15 na 16... (głośno) A A co by pan zrobił gdybym pana naprawdę kochała?**

**On: To by mi nie odpowiadało...**

**Ona: Wybaczam panu z góry.**

**Po tej scenie należy się ostry komentarz stwierdzający że Saganka to nihilistka, że to co pokazane jest przestrogą dla młodych panien. Więcej takich przestróg!**

**Po tym moralitecie, który był wydukany jak nienauczona lekcja przez prowadzącego audycję i którego oczywiście nikt nie słuchał, kamery pokazują nam to co zawsze w takich wypadkach — studio a w nim kilka przerażonych postaci. Są to działacze młodzieżowi i pedagodzy, których zadaniem będzie roztrząsanie problemu młodzieży. Tu jak zawsze pewien kłopot: jak podejść do sprawy? Nikt jakoś nie wpada na myśl, że o młodzieży nie można mówić w ogóle, że co innego młodzi ludzie kończący szkołę średnią, a co innego studenci, co innego młodzież wiejska a co innego młodzież pracująca w fabrykach. Że niestety jedynym chyba elementem łączącym te grupy jest granica wieku, choć i to w naszych warunkach kiedy za „młodzieżowców" uważamy ludzi po trzydziestce mających żony i dzieci, nie jest czymś zupełnie konkretnym. Za to faktem bezspornym jest, że młodzieży wiejskiej nie dotyczą problemy Saganki, a młodzieży studenckiej kwestie nowych norm technicznych uzasadnionych, choć są one zapewne czymś niestychanie istotnym dla robotników I w określony sposób wpływają na zainteresowania tego środowiska. A więc wniosek, że o młodzieży nie można „w ogóle". Teraz pytanie czy o grupach, które tu wymieniliśmy można mówić w ogóle? Na przykład, że studenci są cynicznymi nihilistami? I że trzeba im za to łupnąć kazanko ze srebrnego ekranu? Jeśli redaktor audycji telewizyjnej bierze pod uwagę tylko wygląd zewnętrzny osobnika, a nawet jego nonszalanckie zachowanie — to może się fatalnie pomylić. Znam ekscentrycznie ubierającą się dziewczynę. Można by wziąć ją za „kociaka", a która pisze właśnie poważną pracę naukową na temat programowania (coś z pogranicza ekonomii i pracy elektronowych maszyn liczących), znam dziewczynę która lubi tańce nowoczesne a jednocześnie kończy Politechnikę Warszawską na sekcji tzw. popularnie mózgów elektronowych. Zatem trzeba ostrzec przed powierzchownością. A po czym jak nie po powierzchni zagadnienia mają się ślizgać dyskutanci, którym przedstawiono problem młodzieży do dyskusji „en globe"?! I zagadnienia ekonomiczne, i poglądy etyczne, moralne, polityczne, społeczne... Czy nie za dużo jak na raz? Toteż każdy z żałośnie wyglądających, a przecież z pewnością w robocie wartościowych działaczy, chwyta za jakąś nitkę i przez pół minuty ją ciągnie. Jeden, że sprawę niedobrej młodzieży trzeba widzieć (tak to oni mówią!) w powiązaniu z niełatwym okresem w którym żyjemy? Tu słuchacza trafia szlag! Cóż to za niełatwy okres? Że szkoły są za darmo, że uczelnie za darmo, że stypendia, że domy akademickie?! Tego zazdroszczą naszej młodzieży we Francji, w Anglii, we Włoszech, w USA! Więc drugi na odmianę widzi źródło problemu młodzieży w stworzeniu jej zbyt łatwych warunków życia i powiada: winni są starsi bo stworzyli nam łatwizny! I tak źle i tak nie dobrze. A najgorzej, że dyskutujący działacze młodzieżowi sami nie wiedzą jak to właściwie jest!**

**Niewątpliwie istnieje u nas problem sposobu bycia, problem kształtowania się poglądów, zdobywania kwalifikacji zawodowych, wychowania, zachowania się na co dzień itd. pewnych grup w środowiskach młodzieżowych. Ale o tych sprawach należy mówić w sposób konkretny, naświetlając jedno wąskie zagadnienie z różnych stron, analizować je głęboko, nie sugerować się pozorami, bo te najczęściej mylą. Jeśli zastosuje się zasadę bezwzględnej szczerości (por. film „Anatomia morderstwa") audycja będzie i ciekawa i przyniesie korzyść.**

**O ostatniej audycji telewizyjnej klubu młodzieżowego jak wynika z powyższego nie można tego powiedzieć.**

**W. M.**

## PROGRAM na najbliższe dni

**CZWARTEK, 31, VIII, 61.**

17.20 Program dnia (Ł, lok.), 17.25 „Jeńcy króla mórz" — film fab. prod. radzieckiej dla dzieci (dubbing) (W), 18.40 Przemówienie ambasadora Wietnamskiej Republiki Ludowej (W), 18.55 „Przed wrześniem" — program dokumentalny (W), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.00 Transmisja z wieców we Wrocławiu (Kat.), 22.00 Ostatnie wiadomości (W)

**PIĄTEK, 1, IX, 61.**

16.50 Program dnia (Ł, lok.), 16.55 „Miś z okienka" (W), 17.10 Filmy krótkometrażowe (Ł, lok.), 17.30 Koncert dla dzieci — transmisja z Moskwy (przez Gdańsk), 18.30 Wszystkie dni tygodnia (Ł, lok.), 18.55 Wszechnica TV: program z cyklu „Afryka" (W), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.10 „Potępieńcy" — film fab. prod. francuskiej (czytany) (W), 21.40 Ostatnie wiadomości (W).

**SOBOTA, 2, IX, 61.**

13.40 Program dnia (Ł, lok.), 13.45 Sprawozdanie z mistrzostw świata w kolarstwie szosowym — transmisja z Berna (Szwajcaria) przez Katowice. 15.00 Przerwa. 16.55 Program dnia (Ł, lok.). 17.00 Dalszy ciąg sprawozd. z mistrzostw kolarskich z Berna (Kat.), 18.30 Magazyn dla dzieci (W), 19.10 Program tygodnia (Ł, lok.), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.00 Magazyn „Nie tylko dla pań" (W), 20.30 Film fab. prod. NRF „Reszta jest milczeniem" (Ł, lok.), 22.15 Ostatnie wiadomości, 22.20 PKF (W), 22.30 „1.000 spojrzeń za kulisy" — filmowy program rozrywkowy prod. CSRS (W).

**NIEDZIELA, 3, IX, 61.**

13.05 Program dnia (Ł, lok.), 13.10 „50 minut dobrej muzyki" (Kat.), 14.00 Niedzielna biesiada (W), 15.00 PKF (W), 15.10 „Przygoda w Puszczy" — film z serii „Disneyland" (W), 16.00 Sprawozd. z kontynentalnych żużlowych mistrzostw świata — transmisja z Wrocławia (Kat.), 18.30 „Pst 17"— program satyryczny J. Oseki — telerocording (W), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.15 „Dziwny dramat" — film prod. franc (czytany) od lat 16 (W), 21.55 Niedziela sportowa (W).

***Kwitujemy odbiór***

## Bzdura przyszła wieczorem

**Kwitujemy odbiór ostatniego widowiska teatru sensacji „Kobra" pt. „Ten, który przychodzi wieczorem". Kwitujemy peni zdumienia i niepewności. Co to właściwie było? Kryminał czy humoreska? Parodia teatru sensacji, czy kpiny z widzów? Telewizja jakoś się z widzami na ten temat nie umówiła, a sądząc po nazwiskach, zresztą prawdziwych, podanych po zakończeniu spektaklu, traktowała rzecz jak najbardziej serio. My jednak nie możemy sobie na to pozwolić. Ten, który przyszedł wieczorem, oczywiście ten spektakl był szczytem idiotyzmu, którego ukoronowaniem stała się scena pocałunku po wyjściu z błota („Cena strachu"?). I jak tu mieć zaufanie do polskich nazwisk autorów scenariuszy? Kierownictwo „Kobry" nie powinno zapominać, że jest to teatr o największej w Polsce widowni, i widowni tej lekceważyć nie wolno. Lepiej przeprosić i odwołać widowisko. Tak będzie rozsądniej.**

**(x)**

***Teatr za szkłem***

# NAJTRUDNIEJ JEST ODŁOŻYĆ TELEFON

Kamera szuka. Leniwie pełznie po przedmiotach: telefon, ciężka popielniczka wypełniona niedopałkami, lichtarz, odwrócona grzbietem książka, znów telefon, popielniczka. Jeden niedopałek z podejrzaną pedanterią ułożony jest obok, na blacie stołu.

Kamera szuka dalej. Z gmatwaniny materii wyławia leżącą kobietę. Jej włosy.

Osuwa się po obnażonym ramieniu. Jej dłoń.

Przebitka. Twarz kobiety. Oddalenie.

Odchodzimy w plany pełne, a częściej jeszcze amerykańskie, ruch kamer, niemalże ustaje na rzecz precyzyjnie śledzonego ruchu wewnątrz kadru — co najwyżej w momentach szczególnie dramatycznych otrzymamy kilka interesujących, ostro zarysowanych, ujęć górnych.

Dzwonek telefonu. Pomyłka. Znów dzwonek.

Znamy już osoby dramatu: ona i ten który dzwoni, oddalony o długość kabla. Znamy również temat: on odchodzi, a ona daremnie usiłuje zachować twarz w tej ostatniej, pożegnalnej, dawno przewidywanej rozmowie. Plącze się w drobnych kłamstwach, szuka usprawiedliwień i wybiegów, wybiegów nie dla siebie jednak, a dla kochanka.

Rozmowa trwa, z małymi przerwami, równo godzinę — czas telewizyjny pokrywa się tu z czasem rzeczywistym; tyle akurat gestów i słów potrzebował Jean Cocteau aby dobiec do tragicznego finału.

Ale jeżeli studyjnym **tematem** monodramu Jean Cocteau jest pożegnalna rozmowa, jeżeli interesują go wypowiadane słowa, to **tematem** spektaklu telewizyjnego przygotowanego przez Erwina Axera są przede wszystkim zachowania, gesty, a może nawet więcej niż gesty i zachowania, bo — **ruch.**

Kobieta i telefon pozostają wobec siebie w ciągłym i nie ustającym ruchu: kobieta wstaje, siada, kuca, okrąża stół, znów siada, telefon jest przesuwany i odsuwany, ustawiany raz wyżej, raz niżej, a wijący się kabel wydłuża, urzeczywistnia, nabiera prawie realnego bytu; tak, wiemy to już dobrze, prawdziwy dramat rozegra się i zamknie między kobietą, telefonem i sznurem od tego telefonu. Między człowiekiem a przedmiotami.

Oczywiście, rozumiemy, w kategoriach psychologicznych, ów sznur może symbolizować więź psychiczną, która zostanie bezpowrotnie zerwana, w kategoriach technicznych — materialne związanie z tym, który dzwoni; w kategoriach wizyjnych staje się on jednak realnym współbohaterem dramatu.

Axerowskie studium ruchu przerosło, o całe niebo tekst. Przesłoniło go.

Elektowna i dająca pole do aktorskiego popisu, ale płaska psychologicznie etiuda Cacteau nuży melodramatyzmem, wyświechtanym słownictwem, jednokierunkowością analizy. Tam, gdzie Axer poszedł „za tekstem", gdzie zdecydował się na ilustracyjną dosłowność — choćby to ckliwe tulenie rękawiczek do twarzy — wyczuwaliśmy natychmiast krzyczący fałsz i słodycz lukru; szczęściem jednak były to momenty niezwykle rzadkie.

Same natomiast studium ruchu — wracam do tego nazwania — frapowało. Było przenikliwie jasne i czytelne, warte chyba szczegółowego opisania, na które nie stać mnie niestety po jednorazowym obejrzeniu spektaklu. Żałuję...

Tym więcej, że **Zofia Mrozowska**, zawierzyła, jak się zdaje, koncepcji reżysera, nie delektowała się ponad konieczność, słowem, szczęśliwie ominęła rafy szlochań i umiejętnie dawkowała rozedrgania głosu. Może mogła by być jeszcze oszczędniejsza, jeszcze bardziej opanowana, przez to precyzyjniej sprawdzająca zdanie — klucz: najtrudniej jest odłożyć telefon. (Nie „przerwać rozmowy", bo to w tym wypadku nie jedno i to samo).

Ale tylko może — myślę bowiem że Axer dla swoich zamierzeń znalazł odtwórczynię znakomitą. Podobnie bezbłędnie pracowały kamery — mam pretensję tylko o zamazane ujęcie podejścia do telefonu i jedno zbędne zbliżenie twarzy w dalszej fazie spektaklu. Są to już jednak nie zarzuty, a raczej cienie zarzutów.

Realizacja uratowała tekst; strach pomyśleć, że mogłaby być równie jak on miałka i nijaka...

**JERZY PANASEWICZ**

Teatr Telewizji — spektakl nadany 21 sierpnia Jean Cocteau — „Głos ludzki" reżyseria: Erwin Axer — scenografia: Otto Axer.

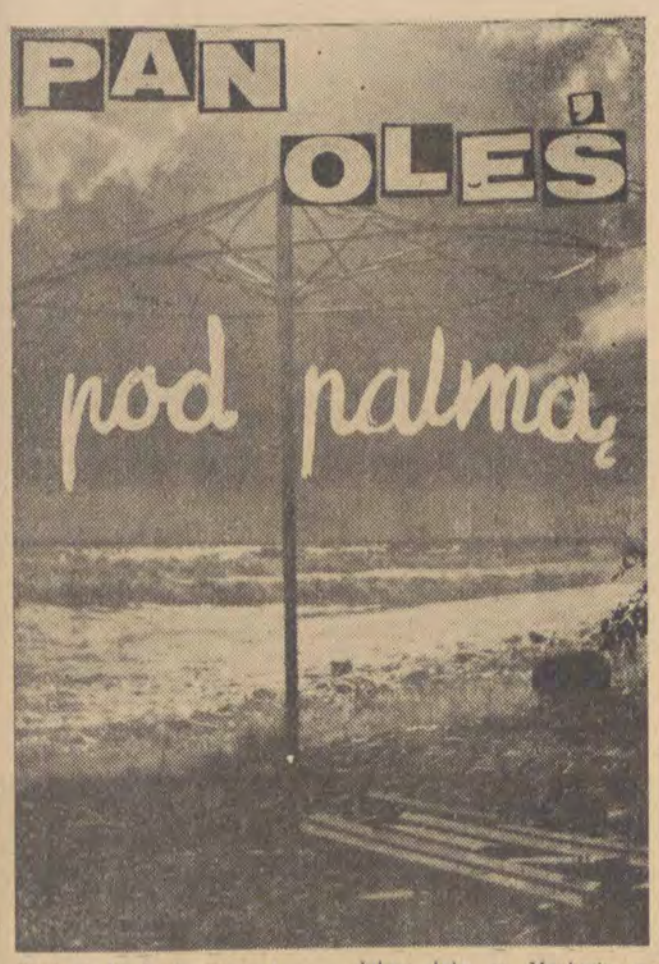


*Słońce! Słońce! Słońce!*
*Słońce!*
*Wszystko lśni się, świeci,*
*pala,*
*złote iskry skaczą z morza,*
*złotem błyska mewa biała...*
*Wzgórz majaczą gięte łuki*
*przez przezroczą mgłę*
*błękitną,*
*na ich stokach białe miasta*
*jak kamelij ogród kwitną...*

Z niemałym, muszę przyznać, trudem odszukałem ten miły wierszyk Tetmajera, z którego dwie zwrotki przytaczam, by wprowadzić czytelnika w nastrój tej opowieści. Opowieści o panu Olesiu pod palmą.

Kiedy matka natura układała na tym świecie góry i morza, kaukazkie nabrzeże stworzyła prawdopodobnie z myślą o Olesiu. Pan Oleś przyjechał tu zmęczony jak ów legendarny Syzyf. Marszruta Olesia wiodła z Warszawy przez Glawnyj Uniwersalnyj Magazin, który podobno leży w Moskwie, podobno przy Placu Czerwonym... czego jednak Oleś nie zauważył zajęty ważkimi problemami handlu międzynarodowego. Kiedy już wszystkie nylonowe komplety damskie, wszystkie nieprzemakalne płaszcze znalazły wdzięcznych nabywców, nasz bohater wkroczył do rzeczowego GUM, gdzie spotykają się wszyscy Polacy — turyści i rozpoczął zakupy, które jako żywo wprawiały w stan osłupienia przywykłe już do niejednego ekspedientki. Jednym męskim słowem zgarniał Oleś z półek serie aparatów fotograficznych i maszynek do golenia! Za jednym zamachem opróżnił stoisko z częściami samochodowymi ze świec do „Moskwicza", potem z miną wytrawnego znawcy wykupił karprony.

Ocierając pot z czoła, już w wagonie, który miał go zawieźć nad Morze Czarne, Oleś liczył i liczył, martwił się taką a nie inną relacją rubla w stosunku do złotówki, nie szczędził ostrych uwag naszemu aparatowi handlu zagranicznego, który jego zdaniem nadaje się raczej do pasenia owiec niż do operatywnych działań na rynku światowym. Oczywiście, on zdziałałby tu więcej. Ale ile może umieścić w paru walizkach jeden obywatel?

Dwa dni później pan Oleś był już na plaży.

Słońce patrzyło na niego prościuteńko z góry, fale błękitne przepływały pieszczotliwie do jego stóp, dziewczęta jak łanie prężyły hebanowe ramiona poruszając złotymi włosami, w błękitnej mgle rysowały się siwiuteńkie góry Kaukazu, szumiały delikatnie zielonobrode palmy, jak na defiladzie prężyły się przed Olesiem cyprysy. A on stał na jednej nodze, trzymał się za drugą i klął:

— Kto to widział, żeby na plaży były kamienie. U nas to jest piasek! Oczywiście, znów ktoś nie dopatrzył, nie pomyślał o człowieku.

Ale nagle bystry wzrok Olesia dostrzegł coś co go wprawiło w podniecenie. Kobiety! Ruszył więc do natarcia, co w warunkach letniego, plażowego rozluźnienia konwenansów nie jednego zresztą z hasłem „ukreplania drużby" było rzeczą normalną. Słowem jak mówi poeta:

Szalony wybiegł w pole Faun.
Gdzie nimfy wiodły skoczny tan...

Tyle że Faun nie wybiegł, a dotarł do najbliższych nimf na czworakach sycząc z bólu pokaleczonych stóp. I tu zaczęła się uwodzicielska opowieść pana Olesia.

— U nas — powiada — to przez cały dzień w radio śpiewa Priestley. Ale teraz przerzucił się na piosenki włoskie. ... „O sole mio". Po angielsku to brzmi tak...

I Oleś śpiewa po angielsku. Tu jego słuchaczka, opalona jak czekoladka, tłuściutka muza z komsomołu, przerywa:

— Przepraszam. Zaśpiewajcie towarzyszu jeszcze raz. Nic was nie zrozumiałam.

— Ha, ha! Bo to było po angielsku — śmieje się Oleś.

— Nie może być! — woła muza. A ja myślałam, że nieźle znam angielski!

I wyjaśnia Olesiowi, że u nich Priestley jest również dobrze znany, ale z płyt. Że ryska wytwórska płyt gramofonowych wypuściła tak zwaną „siódmą serię", stale uzupełnianą nowymi pozycjami. Są to longpleye z najnowszymi nagraniami orkiestr i solistów z całego świata. Płyty te są oczywiście bardzo poszukiwane. W Moskwie nie można ich prawie dostać. Ale... płyta z Edith Piaff i innymi nagraniami np. „Mały kwiatek", jeszcze sześć innych, w tym amerykańskich, zachodnioniemieckich i innych kosztuje 75 kopiejek, czyli niecałe 12 złotych!

Ale pan Oleś o tym nie wiedział. Strzelał więc dalej.

— A w Polsce — powiada — teraz jest modna piosenka „Kaczuszka".

— Jak, jak? — pyta muza

— Zaraz przetłumaczę na rosyjski tekst tej piosenki. Więc „Adnej gusi oczyń nrawiłsia krasnyj mak...

Pan Oleś, zaznaczam, cały czas mówi swobodnie po rosyjsku. Kaczka czy gęś to dla niego fraszka!

Bywało, że jeszcze w czasie podróży pociąg zatrzymywał się na stacji, Oleś wychodzi na peron i wskazując na wagony zwraca się do dyżurnego ruchu z pytaniem:

— Skolko stoit? Co, jak wiadomo, nie znaczy po rosyjsku: ile, czy jak długo pociąg stoi na stacji, tylko: ile kosztuje. Biedny żelaznodorożnik omal nie przewracał się ze zdziwienia, po czym wyjaśniał, że nie wie. Na co Oleś kiwał z politowaniem głową nad tutejszymi kolejami, które o dziwo! chodzą jeszcze punktualnie.

Po godzinie takiej rozmowy plażowej Oleś siedzi już z kaukazką muzą pierś w pierś, zagląda jej słodko w oczy i weksluje dyskurs na tory intymne.

— U nas w Polsce — jeśli mężczyzna z mężczyzną, ponimajesz... to się nazywa homo..., a u was kak?

Na takie dictum przerażona muza zrywa się na równe nogi i skacze nieprzytomna w morską otchłań. A Oleś odwraca się ku następnej.

— Czy wy macie tutaj bohaterskich tenorów?

Skąd mu nagle strzeliły do łba te bohaterskie tenory, Bóg jeden wie!

— Nie — odpowiada dziewczyna. Nie mamy.

— A my mamy. U nas Paprocki jest, rozumiesz. Bohaterski tenor, takii... Ot czto! To pewnie nie gracie takich oper jak „Aida" czy „Tosca"? Co? Biedny kraj... — wzdycha ze współczuciem.

Potem się okazuje, że tenor bohaterski nazywa się tu dramatyczny. A opery grają, śpiewają i to jak!

Ktoś przybiegł tu na ratunek tonącej polskiej opinii. Mówi o tym, że mamy i cenimy Kozłowskiego z opery moskiewskiej... Oleś jednak już zmienił temat. On będzie teraz uczył muzę pływać... Dziewczyna skłonna do nauki jednym skokiem jest w wodzie, a Oleś stoi na brzegu zdenerwowany jak kura co to wysiedziała kaczęta. W Bałtyku — twierdzi — pływa się zupełnie inaczej. Tam jest płyciej.

Niebo się nachmurzyło. Morze rozszalało. Przyszedł sztorm i wywiesił na maszcie czarną flagę. Pan Oleś wraz z grupą Polaków udał się na wycieczkę do górskiego jeziora Rica.

Autokar wił się jak wąż po skalnych półkach, spadał w przepaście, czepiał się asfaltu gorącymi od hamowania oponami. Ludzie wisieli za burtą odkrytego samochodu, sumiennie oddając naturze to co im ofiarowała na śniadanie. Tylko Oleś był jak głaz. Pasjonował go właśnie problem co też można by zrobić z palmowego pnia. Czy takie deski na coś się przydadzą? Na co? na meble? Na garaż? A może na kajak? Nie widział przepaści, nie widział ośnieżonych szczytów, zielonych jak cyprysy kolegów, drżących ze strachu niewiast. W ogrodzie botanicznym w Soczi zagadka pasjonująca Olesia została wyjaśniona przez przewodniczkę.

— Drzewo palmowe ma konsystencję waty — mówiła botaniczka — nie nadaje się do niczego. Jeden pień palmy kalifornijskiej dostarcza jednak w ciągu roku ponad 800 litrów soku, z którego na drodze fermentacji można uzyskać świetny alkohol.

— No — uspokoił się Oleś — bimberek jednak się pędzi! I już zadowolony w dalszej drodze pozwolił sobie wstąpić w ślady kolegów mających lęk przestrzeni, lub uszkodzony błędnik w uchu środkowym.

Samo jezioro Rica położone na wysokości, gdzieś 1.200 metrów npm, nie zrobiło na Olesiu większego wrażenia, nie zaimponowało mu nawet głębokością dochodzącą do 130 metrów. Z cynicznym spokojem wsiadł do motorówki, wyjął aparat i powiedział do czarnookiej Rosjanki:

— Dziewuszka. Ja was lublu. Razreszitie zdziałać wam snimku. Ja waszu snimku powieszu (!) siebie (!) na tualet... Chciał powiedzieć „na toaletu" Rzekło mu się jednak powieszę na klozecie!... Uwodziciel co?

Oleś! Bój się Boga!

Tekst i zdjęcia:
WIESŁAW MACHEJKO

# Korespondencja

## Do redakcji tygodnika łódzkiego „ODGŁOSY"

W związku z notatką zamieszczoną w Waszym piśmie (Odgłosy nr 33) pt. „Cacko na Widzewie", uprzejmie zawiadamiam, że przy wystroju plastycznym wnętrza szkoły im. Tekli Borowiak na Widzewie brało udział siedmiu plastyków (w tym dwóch wykładowców WSSP). Poza zauważonymi przez autora notatki, w pracach plastycznych brali udział: Benon Liberski, Leszek Rózga oraz niżej podpisany. Ponieważ udział nasz w wyposażeniu plastycznym był równy, uprzejmie proszę o zamieszczenie niniejszego sprostowania.

Z wyrazami szacunku
*EUGENIUSZ PISAREK*

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86, Tel. 344 78 ◇ Warunki prenumeraty miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 2414.VIII. L-12

# GDY PICASSO był jeszcze nędzarzem

Dokończenie ze str. 9

410.000, zaś za drugi 1.300.000 franków.

Dopiero w 1907 roku, po sześciu i półrocznym wegetowaniu, odkrył Picassa w Paryżu znany handlarz przedmiotów artystycznych Ambroise Vollard, ale i on na początku kupował picassowskie obrazy za grosze. W owych czasach Picasso setkę uważał za taką olbrzymią sumę, że nosił ją w wewnętrznej kieszeni marynarki, w specjalnie przyszytej skrytce.

Ale już w 20 lat później majątek Picassa szacowano na 75 milionów franków, co w 1927 roku we Francji było sumą poważną.

Stary już dziś, ale nadal stale krytykowany malarz jest obecnie posiadaczem kilku majątków, a w Paryżu ma kilka swoich własnych pracowni. Posiada trzy samochody, wielki personel, korespondencje załatwia mu osobisty sekretarz. A cokolwiek by mówiono o nim i o jego szkole malarskiej — jedno jest pewne, że ogólna cena jego obrazów znajdujących się w wszystkich częściach świata — wynosi aż dwa miliardy franków francuskich. — Za te pieniądze — powiedział niedawno pewien jego złośliwy krytyk — mógłby malować przecież normalne obrazy...

(T. — J. B.)

Ellery Queen

# Kostka cukru

Gdyby nie to, że posterunkowy Wilkins z policji konnej był tego ranka na torze jeździeckim w pobliżu położonej w parku restauracji, zwanej „Taverną", mordercą Shakes Cooney'a nie zostałby nigdy ujęty. Ellery przyznaje to chętnie.

Poprzedzającej nocy kelner z „Taverny" nie sprzątnął nakryć z jednego ze stołów na tarasie przed restauracją. I oto pytanie: kim był ten, który następnego ranka, o szóstej rozprawił się tak bezlitośnie z Shakes Cooney'em? Logika wskazywała, że morderca mógł być każdy, bo ostatecznie każdy z ośmiu milionów mieszkańców Nowego Jorku mógł w pewnej chwili dojść do wniosku, że życie Cooney'a jest nic albo prawie nic nie warte. Ale posterunkowy Wilkins znalazł się na szczęście na miejscu morderstwa i zdołał oddać w ręce swych zwierzchników trzech mężczyzn, którzy znaleźli się w pobliżu opuszczonej „Taverny" i ciała Cooney'a o tak dziwnie wczesnej godzinie.

Każdy z tych trzech panów był jednak osobistością wysoko postawioną i inspektor Queen nie bardzo umiał sobie z nimi poradzić. Bo też nie każdego dnia nasz inspektor spotykał w komisariacie policji męża stanu, potentata finansowego i polityka związkowego.

Senator Kregg odpowiadał na pytania niechętnie, traktując inspektora tak, jakby ten był reporterem z opozycyjnej gazety.

Finansista Millard odpowiadał tak, jakby Queen był właścicielem źle stojących akcji.

Prezes Stevens najwyraźniej uważał inspektora za jednego ze swych mało znaczących wyborców.

Co najważniejsze jednak, zeznania trzech wysoko postawionych panów w strojach do jazdy konnej były zadziwiająco zgodne. Wszyscy trzej znaleźli się na torze jeździeckim, ponieważ zapragnęli tego właśnie ranka zażyć przejażdżki konnej. Na torze nie spotkali nikogo poza posterunkowym Wilkinsem. Shakes Cooney, żywy czy umarły, nic ich nie obchodził. Posterunkowy Wilkins, zatrzymując ich, użył metod, stosowanych przez państwa totalitarnie. Tak przynajmniej określił to senator Kregg. Millard nazwał postępek Wilkinsa wysoce niestosownym, a Stevens dodał, że ktoś za to jeszcze odpowie.

Cóż miał począć w tej sytuacji inspektor Queen?

Wypowiedział swoje przypuszczenia w sposób możliwie delikatny i taktowny. W sferach zajmujących się polityką stwierdzono, że senator Kregg jest jednym z tych, którzy mogą dojść do najwyższych zaszczytów w państwie. Co do Millarda, to słyszało się o tym, że jest on człowiekiem pracującym gorliwie dla senatora. A jak twierdzili ci, którzy mają brzydki zwyczaj zaglądania przez dziurkę od klucza do mieszkań polityków, Stevens miał być także jednym z wykonawców ambitnych planów Kregga. W tym stanie rzeczy, stwierdził nieśmiało inspektor, pewni ludzie, na których opinii nie należy jednak polegać, mogli podsunąć komuś myśl, że Cooney, szuler, gracz na wyścigach, typ — przyznajmy — dość mętny, mający zasady moralne cmentarnego złodzieja, dowiedział się skądś, powiedzmy, o pewnym miejscu, w którym zostało pochowane pewne ciało, którego ekshumacja mogłaby, powiedzmy, nieco nadwerężyć dobrą opinię, jaką cieszy się tu i ówdzie senator. Snując dalej podobne rozważania, można by nawet przypuścić, że cena, jakiej Cooney zażądał za pozostawienie owego ciała w spokoju mogła komuś wydać się zbyt wysoka. I ktoś, jak ośmiela się zauważyć inspektor, mógł stracić głowę. Czy panowie mają coś do powiedzenia na ten temat?

Senator Kregg wypowiedział się krótko i dobitnie, po czym opuścił gabinet inspektora. Finansista Millard wyszedł za nim. Zatrzymał się jeszcze tylko na progu, by zapytać:

— Jak długo pracuje pan, panie Queen, w policji nowojorskiej?

Zabrzmiało to, przyznajmy, niezbyt przyjemnie. Podobnie zresztą jak to, co miał do powiedzenia działacz związkowy Stevens.

Mimo wszystko, Ellery zastał ojca w nie najgorszym humorze. Sprawa, jak sądził inspektor, była dość jasna. Wystarczyło właściwie odpowiedzieć na pytanie: kogo miał na myśli Coney? Bo też Shakes Cooney nie był jednym z tych ludzi, którzy umierają bez słowa. Oględziny tarasu „Taverny" wykazały, że po ucieczce mordercy Cooney, z nożem kuchennym w piersi, doczołgał się do stołu, z którego opieszały kelner nie sprzątnął poprzedniej nocy nakryć, i zdołał podnieść się na tyle, by sięgnąć po cukiernicę. Znaleziono go leżącego koło stołu. W zaciśniętej pięści trzymał kostkę cukru. Umarł, jak sądził Queen, z niejaką satysfakcją.

— Albo — powiedział do syna — to ma jakieś znaczenie, albo ja jestem wujem tego senatora. Ale kogo Shakes miał na myśli?

— Właśnie — mruknął — kogo?

Po czym zaczął zabierać się do wyjścia.

— Chciałbym — powiedział jeszcze — dowiedzieć się czegoś o wyczynach jeździeckich tych trzech panów.

Tego samego popołudnia inspektor zadzwonił do syna.

— No i co? — spytał Ellery, odrywając się od maszyny do pisania.

— Coś niecoś — powiedział inspektor — udało mi się wygrzebać. Kregg uprawiał jazdę konną przed dziesięciu laty. Ale miał wypadek, potłukł się dość dotkliwie, i od tego czasu nie widziano go nigdy w siodle. Millard nie siedział na koniu, odkąd wyniósł się z majątku swego dziadka. A stało się to przed kilkudziesięciu laty. Myślę, że Kragg, Stevens i Millard zdecydowali się na tę przejażdżkę w parku tylko dlatego, że chcieli uniknąć spotkania z operatorami kroniki filmowej. Musieli mieć coś do załatwienia, coś brudnego, rozumiesz? Nie chcieli, żeby ich widziano.

— A Stevens?

— Stevens? Nie przypuszczam, żeby dosiadał kiedyś jakiegoś konia poza koniem na biegunach. Tego ranka po raz pierwszy w życiu znalazł się na torze wyścigowym.

— No tak — w głosie Ellery'ego zabrzmiała nutka zdziwienia. — Ale co wobec tego miał na myśli Shakes? Cukier... A może któryś z nich związany jest z przemysłem cukrowniczym, co? Może Kregg ma jakiś udział w plantacjach trzciny cukrowej? Albo może Stevens był niegdyś właścicielem fabryki cukierków? Spróbuj dowiedzieć się czegoś na ten temat.

Po dwóch dniach inspektor Queen znów zadzwonił do syna.

— Żaden z nich — powiedział zmęczonym głosem — nie miał nigdy nic wspólnego z cukrem. Owszem, pijąc kawę, każdy z tych trzech panów wrzuca do filiżanki kostkę cukru. Ale na tym kończą się ich związki z przemysłem cukrowniczym. — Ellery milczał i inspektor warknął ze złością: — No, odezwij się wreszcie.

— Kostka cukru? — mruknął Ellery. — A przecież Shakes sądził, że będzie to dla nas jasne....

— Tak? — powiedział inspektor.

— Jasne — krzyknął Ellery. — Wiemy już wszystko. Musisz tylko dowiedzieć się, który z nich choruje na cukrzycę.

Inspektor uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku dni.

— Otóż to! — wykrzyknął. — Wiedziałem, że można na ciebie liczyć.

Następnego dnia inspektor Queen zatelefonował ponownie.

— No i co? — spytał Ellery. — Który z nich?

— Żaden — powiedział cicho inspektor.

— Żaden? To znaczy, że żaden z nich nie jest chory na cukrzycę?

— Właśnie.

— Hm — mruknął Ellery i przez kilka minut inspektor Queen nie słyszał nic poza nieokreślonym warczeniem, wydobywającym się ze słuchawki. Po chwili i to warczenie urwało się i zapanowała cisza.

— No? — spytał inspektor. — Masz jakiś pomysł?

— Tak — odrzekł Ellery z wyraźną ulgą. — Tak. Teraz już wiem, kogo Shakes Cooney miał na myśli.

— No, kogo? — spytał inspektor.

— Przemyśleliśmy — powiedział Ellery — wszystkie możliwe znaczenia, jakie można nadać kostce cukru. No i co? Nie posunęliśmy się ani o krok naprzód. A kostka cukru w dłoni Cooney'a nadal wskazuje mordercę. Ale Cooney nie był poetą i nie należy spodziewać się po nim zaskakujących metafor. Przypuśćmy, że potraktujemy tę kostkę cukru tylko i wyłącznie jako kostkę cukru. Kto i po co nosi przy sobie cukier w kostkach?

— Poddaje się — powiedział inspektor. — Kto i po co?

— To proste — odrzekł Ellery. — Ktoś, kto jeździ konno. A konie lubią cukier.

— Ktoś, kto jeździ konno... — powtórzył inspektor. — To dlatego tak interesowały cię wyczyny jeździeckie tych trzech panów? Ba, ale to nie prowadzi do niczego. Żaden z tych gentelmenów nie był nigdy miłośnikiem koni. A więc Shakes miał na myśli czwartego podejrzanego. Pomyśl tylko. Cooney był szulerem i bukmacherem. Ten facet, który to zrobił, mógł siedzieć u niego w kieszeni. Był po uszy w długach i wiedział, że nigdy tych długów nie spłaci...

— Chwileczkę — krzyknął inspektor. — Czwarty podejrzany? Kto tu jest czwartym podejrzanym?

— Jak to kto? Tego ranka na torze jeździeckim było czterech konnych. Ten czwarty był z pewnością miłośnikiem koni i miał przy sobie cukier w kostkach.

— Wilkins?

— Tak. Posterunkowy Wilkins z policji konnej.

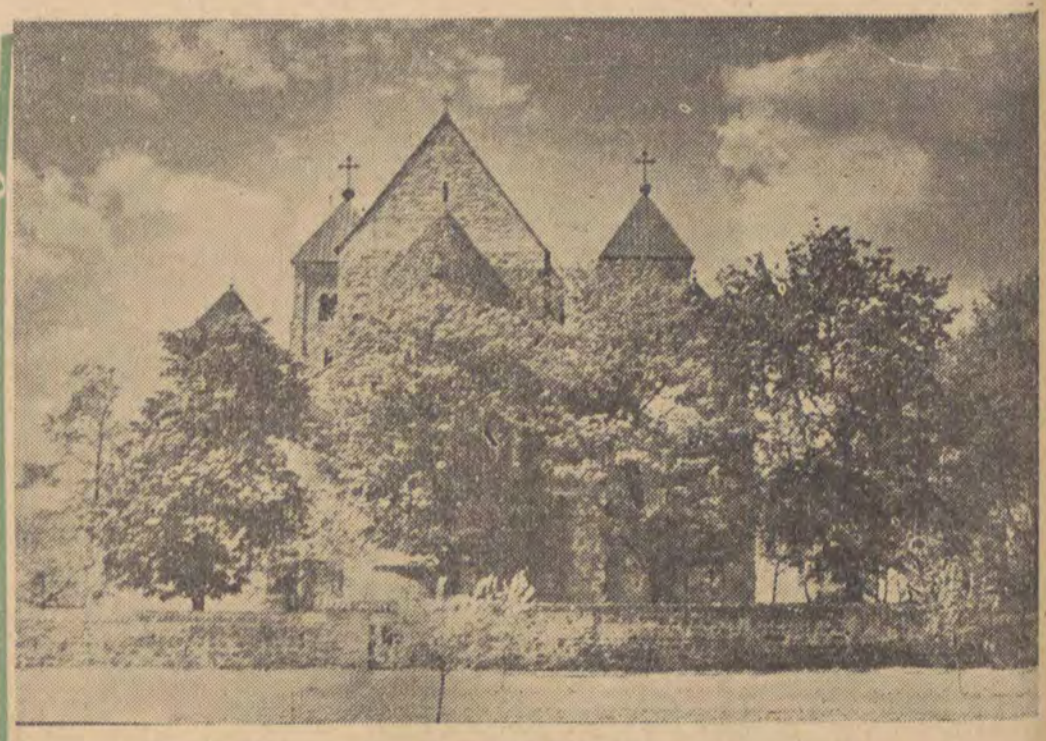

*Tum — kolegiata* *Fot. J. Głowacki*

# W Łęczycy dbają o nudę

Dalszy ciąg ze str. 8

socjalistycznej... Tak, brygady pracują na akord. Przeciętny zarobek kształtuje się w granicach 4 tys. (słownie — czterech tysięcy złotych — przypisek reportera). Działalność kulturalna? Festyny w niedzielę, kiedy dopisze pogoda. Wieczorki taneczne. W perspektywie stworzenie 65-osobowego Zespołu Pieśni i Tańca.

Drugi sekretarz:

— Jak urządzali festyn w Boże Ciało, to musiałem sam wszystko zorganizować. I cię żarówki, i później na miejscu. A potem się popili i mieli bójkę między sobą. Brakuje nam odpowiednich ludzi, towarzyszko. Łęczyca nie ma tradycji robotniczych, ciężko tu pracować. Młodzież chce żyć lekko.

Przewodniczący:

— Pijaństwo? Chuligaństwo? W zasadzie nie ma.

Komendant:

— Do niedawna do Hotelu Robotniczego wieczorem wejść nie można było, jeden milicjant nie wystarczał. Niewesoło tutaj. Młodzież się rozpija. Brak rozrywek kulturalnych. Dwa kina i to wszystko. Nudzą się — to piją. W gospodzie, w kawiarni.

Kierownik restauracji i kawiarni:

— Kawiarnia jest samoobsługowa. Prowadzi sprzedaż win i likierów, lecz wódkę przynoszą ze sobą, kto ich tam upilnuje! Bójek w gospodzie w ostatnim tygodniu nie było. Za to w poniedziałek mieliśmy włamanie — młodociany sprawca szukał pieniędzy, zdążył zabrać 19 tabliczek czekolad. Na młodzież nie można narzekać. Co wieczór pełno. Gdzieś trzeba wydawać zarobione pieniądze.

Komendant:

— Zabawy ZMS-owskie? Oni nie wyobrażają sobie zabawy bez alkoholu! Dochód musi być.

Przewodniczący:

— Nasz ostatni wieczorek taneczny w kawiarni bardzo się udał. Gdy który za dużo wypił, to go koledzy odprowadzali do domu... Dom Kultury to tylko budynek. Nie warto tam chodzić, towarzyszko, kierownik na urlopie, czynny tylko sekretariat.

Drugi sekretarz:

— W Domu Kultury mieści się prawie wszystko: — biblioteka powiatowa, redakcja „Ziemi Łęczyckiej", mieszkania prywatne pracowników, no i wreszcie sam Dom Kultury. Sala widowiskowa, przeważnie pusta, bo nie urządza się imprez, mała sala, klub telewizyjny, pokój kukiełkowy.

Przewodniczący:

— Nie mamy zespołów. Był zespół muzyczny, ale trzeba go było rozwiązać.

— Dlaczego?... Za niemoralne prowadzenie się. Pojechali na wczasy do Karpacza, robili awantury, pili, wdarli się nocą do Domu Wczasowego. Chuliganili. Trudno nam pracować kulturalnie, lokali nie mamy.

Drugi sekretarz:

— Są lokale do wykorzystania. Świetlica w LZG, w Zakładach Mechanicznych, przy Przedsiębiorstwie Budowlanym.

Przewodniczący:

— Chcieliśmy zorganizować Młodzieżowy Klub ZMS. Funduszy na remont lokalu nam nie przyznano.

Drugi sekretarz:

— Klub? Lokal piwniczny, magazyny warzywnicze PSS. Na sam remont tej rudery potrzeba około stu tysięcy.

Robotnik z magazynu:

— Te ściany przeżarte są grzybem, o, widzi pani? Wystarczy dotknąć, wszystko się sypie. Tu żadna farba nie chce trzymać.

Drugi sekretarz:

— Daliśmy im na okres letni „wyspę" w parku. Za darmo. Niech urządzają. I miejsce na orkiestrę jest i do tańca, pod osłoną drzew mogliby zrobić kawiarnię. A towarzyszka co widzi? Nic — pusto.

Uczeń Szkoły Górniczej:

— Nie zostanę w Łęczycy po skończeniu szkoły. Przecież tu nie ma co robić. Tu się nic nie robi. Nuda, proszę pani, nuda. Dwa kina są — fakt. A co dalej? Do Domu Kultury idzie się, jak jest jakiś ciekawy mecz w telewizji. Basen budują z funduszy społecznych — koniec lata, a basenu nie ma. Ale gospoda jest pod bokiem. Stąd wieczorem w Łęczycy ciekawie: cała Łęczyca się chwieje! Nie radzę pani zbierać wieczorem materiału do reportażu.

* * *

W Łęczycy ktoś zadbał o nudę. Ktoś postarał się, aby jej nie brakowało. Wywłaszczony z ziemi diabeł Boruta znalazł posadę. Ludzie dojrzali, obciążeni obowiązkami rodzinnymi, posiadają swoje życie, codzienne kłopoty. Załóżmy, że wysłuchanie audycji radiowej, obejrzenie dwa razy tygodniowo programu filmowego, przeczytanie dziennika, nie obowiązującej powieści — zaspokoi ich ambicje kulturalne. Jednak młodzież posiada troski o innym ciężarze gatunkowym. Dla niej odpoczynek polega na ruchu, młodzież nie odczuwa potrzeby sennego relaxu, przeciwnie — musi zrealizować swój dynamizm, wyładować energię. Prawa naturalne rządzą bez względu na środowisko czy miejsce zamieszkania. Nie ma „lekkiej młodzieży", jest natomiast młodzież podatna na wpływ otoczenia.

W Łęczycy miejscem towarzyskich spotkań jest plac Kościuszki z restauracją, w której o pijanych ociera się trzeźwy już od południa. Dwa kina, panoramiczne — jedno imponuje nowoczesną architekturą, „nawet Łódź takiego nie ma", — niewykorzystane świetlice, nie użytkowany należycie Dom Kultury nie są w stanie rozwiązać zagadnienia wolnego czasu. Cztery tysiące młodych to przecież liczba zobowiązująca.

Książka? Czasopisma? — przeczytanie dobrej książki wymaga od czytelnika pewnego poziomu intelektualnego. Biblioteka notuje zapotrzebowanie na kryminał i przygodę. Trudności lokalowe sprawiają, że nie dysponuje miejscem na wyłożenie nowych pozycji. Czasopismo „Ziemia Łęczycka" wydaje się nudne... — „Wolę czytać dzienniki, proszę pani" — mówiono mi.

Do Łęczycy prowadzą dwie drogi — stara ulicą Belwederską i nowa, jeszcze bez nawierzchni, ale już wytyczona na planie miasta, ona już należy do czasu przyszłego — ulica Łąkowa, której nazwa za lat...? ...stanie się archaizmem językowym. Można i trzeba wierzyć optymizmowi naczelnego architekta. Rynek przestanie być centrum. Tereny za kolejką wąskotorową już częściowo zabudowane blokami mieszkalnymi wchłonięte zostaną przez cegłę i beton. Tak pokazują plany i tak mówią cyfry. Cyfry? Proszę bardzo! Rok 1961: budynków mieszkalnych stanie 216 za 5.400.000 zł, gospodarczych za 10.800.000 zł, rok 1962: mieszkalnych 236 za 5.900.000 zł, gospodarczych za 11.200.000 zł. Szpital Tysiąclecia, nowa biblioteka, stadion. To nie tylko plany. Już przecież są, już się je widzi — nowe bloki w panoramie Łęczycy od strony pola — przepraszam, ulicy Łąkowej.

To przyszłość. Ale co począć z teraźniejszością? Z dniem, w którym się żyje?

Spośród powodzi nagromadzonych problemów — ten młodzieżowy urasta do rangi społecznej. Bo zanim rynek stanie się przedmieściem, niech odpowiednie władze obejmą kontrolę nad diabłem Borutą. Niech stary, wysłużony w tym kraju diabeł wróci do legendy.

EWA OSTROWSKA